

Parę wieczorów było niezwykłych. Stary poczciwy księżyc, na który miliony ludzi patrzyło w tamte noce, po raz pierwszy zupełnie inaczej, wędrował pogodnym niebem nad Magurą Stuposiańską, wylądowując z mgły zalegającej dolinę delikatnie ciepłe światła ogniska kempingu. Z namiotów mimo wieczoru tranzystory nie skrzęczały muzyką, ale wielogłosem zdenerwowanych ludzi komentujących księżycową wyprawę, która za godzinę, za pół, za kilkanaście, kilka minut miała zakończyć się lądowaniem na Srebrnym Globie.

Tak było do późnych godzin nocnych, do pierwszej porannej informacji o pomyślnym zakończeniu pierwszego etapu programu Apollo 11.

Tego dnia, gdy człowiek postawił na innej planecie swoje pierwsze kroki, mała Katarzyna, córeczka letników postawiła swoje pierwsze samodzielne kroki na pachnącej jeszcze świeżością podłódze leśniczówki.

Wypiliśmy za szczęśliwy powrót Armstronga, Aldrina i Collinsa i dalsze szczęśliwe kroki Kasi tu na tej samej planecie, która wysłała swych przedstawicieli na fascynującą swym chłodnym blaskiem planetę.

Tego ranka gdy z kamiennego brzegu pod wbitą w niego metalową rurką zbierałem do bańki znakomitą źródlaną wodę, stojący obok mnie harcerze wyjaśnili mi w sposób szczegółowy sam manewr lądowania LEM-a i wyjście z niego obu selenonautów. Nabrawszy do wielkiego bania-ka wodę poszli w stronę kuchni przygotowywać obiad. Przynam się, że ten kontrast spraw dziwiących się gdzieś w kosmosie z lasami zamykającymi horyzont dzikimi ostępami i uroczyskami Otrytu był tak uderzający, że zapamiętam tamtą noc i następne po niej dni może nawet bardziej niż gdybym wziął udział w największym widowisku, jakie w swej historii zanotowała telewizja.

*

Tegoroczny sezon turystyczny w Bieszczadach obserwowałem na zasadzie kibica. Powiedziałem sobie: żadnych kontroli, żadnych analiz, koniec z zagładaniem do garnka, sprawdzania jak wygląda zaplecze. Były to założenia prawdziwie urlopowe i wydawało się, nie trudne do realizacji.

Jako jeden z tysięcy przez kilka dni uparcie czekałem na pogodę. Było na początku deszczowo, zimno i co tu dużo mówić: podle. Bez widoków na lepsze perspektywy.

Ale wytrwałość bywa wynagradzana. Jak w porzekadle góralskim. — Jak przestało lać to zaczęła się pogoda. Nie jest to mój pierwszy ani (oby!) ostatni pobyt w Bieszczadach. Już dziś gdy jadę tam za swoimi dziennikarskimi sprawami widzę, że będzie to w historii tego regionu sezon rekordowy. Takiej masy turystów nie pamiętam od wielu lat. Ale od wielu lat zarysowuje się pewna charakterystyczna cecha tego ruchu. Jego koncentracja to sobota, niedziela, dni przedświąteczne i świąteczne. Mimo że tegoroczny 21 lipca był dniem normalnej pracy, wyż turystyczny zwałił w górę już w sobotę wieczorem i trwał do późnych godzin nocnych 22 lipca. Ten przypływ i odpływ powtarza się zresztą cyklicznie co roku i skłania do refleksji. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że ten typ turystyki nie przyniesie nam mi-

lionowych zysków, jakie w przepływie ruchu o tych rozmiarach można by przewidywać. Aby zarabiać tak jak zarabiają nowosądecczanie, trzeba by z turysty zrobić letnika. Czy się o to nie stały? Ależ tak! I to nie tylko na szczyblu resortowym, ale prawidłowość tę pojęli przede wszystkim ludzie mający w Bieszczadach własne domy i mieszkania. Im to w dużej mierze zawdzięczać można, że powstaje i u nas wreszcie praktyka, nazwijmy to jak

Adolf Jakubowicz

Kilka uwag z upalnego lata

chcemy, wczasów pod gruszą, wczasów, niepisana instytucja letniskowa.

Na wszystkich trasach powiatu leskiego i ustrzyckiego, jakie w ciągu tygodni miałem możliwość obejrzeć niemal pod każdym domem pracowników lasu — samochody, motocykle, czasem w podwórzu namiot.

Takiej masy turystów wybierających biwak pod płótnem Bieszczady jeszcze chyba nie notowały. W zakolu koło Stuposian trzy rodziny z Łodzi przetrwały deszcz z przełomu czerwca i lipca i twierdzą, że nic nie jest ich w stanie przerazić, w przyszłym roku przyjeżdżają tu ponownie. To co się dzieje nad dostępnymi brzegami jeziora solińskiego przeszło również wszelkie oczekiwania. Bieszczady, są jeszcze jednym z nielicznych już w turystycznej Europie regionów, gdzie miejsce na kemping człowiek może sobie wybrać sam, gdzie potoki dają wodę czystą i smaczną, gdzie odnaleźć można jeszcze miejsca bez zgiełku, hałasu, puszek od konserw.

J e s z c z e. Bo mimo najpiękniejszych założeń, by zachować ten zakątek województwa w stanie naturalnym, by nie niszczyć jego najcenniejszego waloru — przyrody, powstaną tu jak i wszędzie obozowiska i kempingi z elektrycznością, wodą bieżącą, dobrze ogrodzone i strzczone, restauracje i zajazdy, powstanie wielki ośrodek turystyczny w Brzegach Górnych i szereg innych mniejszych, a to obok wielu zalet niesie również mniej oczekiwane efekty. Na naradzie, jaka odbyła się w Bieszczadach pod koniec lipca br., z udziałem członka Biura Politycznego, I sekretarza KW Partii w Rzeszowie Władysława Kruczka, wicepremiera Piotra Jaroszewicza i przedstawicieli kilku resortów, poświęconej głośnej Uchwale Rady Ministrów w sprawie zagospodarowania terenów górskich województwa rzeszowskiego, Przewodniczący GKKF'IT Włodzimierz Reczek mówił o przyszłości turystycznej tego regionu. Warto przy-

pomnieć, że wśród pięciu dużych, z prawdziwego zdarzenia ośrodków, jakie powstaną w najbliższych latach w kraju ze środków centralnych, jeden zlokalizowany zostanie w Bieszczadach.

Nareszcie po latach latania dziur, remontowania starych rozlatujących się baraków, zaczyna się tworzyć podstawa do zorganizowanej nowoczesnej bazy turystycznej, której straż przednią pełnią z mniejszym i większym powodzeniem osiedle w Solinie i chyba już w przyszłym sezonie pięknie wkomponowane w pejzaż domy wypożyczkowe w Polańczyku.

Nie trzeba być prorokiem, by stwierdzić, że idąc do Bieszczadów lata dobre, że powstanie tu sieć zaplecza turystycznego. Prymitywne „dzikie”, kempingi, które dla wielu są jeszcze reliktem legendy Bieszczadów sprzed lat kilkunastu, przestaną istnieć, jak zniknęło tu szereg obiegowych pojęć o Bieszczadach o jakich głośno było w Polsce.

*

Co zaskakuje mnie pozytywnie w tegorocznym sezonie turystycznym w Bieszczadach? Handel. Jak setki innych turystów kupowałem chleb, konserwy, masło, wędliny. Szereg bardzo dobrze zaopatrzonych sklepów w Ustrzykach Dolnych, Czarnej, Lutowskich, nieźle wyposażonych kiosków spożywczych. Samograjem dziennikarskim przez lata całe było narzekanie na braki, na nierytmiczne dostawy, na zły towar. Trzeba wielkiej odporności psychicznej, by w trudnych warunkach, wśród kłopotów z transportem, z brakami personelu, przy nie najlepszym klimacie dla tej pracy zbudować w ostatnich czterech latach tylko w pionie handlu wiejskiego ponad 150 nowych obiektów, 14 zakładów gastronomicznych, kilka piekarni. Wybór najbardziej podstawowych towarów jakich potrzebuje turysta jest w tym roku duży i historyjki sprzed dwu lat, kiedy harcerze spod Lu-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Jan Bolesław Ożóg

25 lat PRL

Początki Liceum w Sokołowie

Liceum w Sokołowie należy do szkół średnich, które powstały z końcem działań wojennych na terenach wyzwolonych przez wojska radzieckie. Liceum to było chyba pierwszą tego rodzaju uczelnią w Polsce Ludowej.

Sokołów jest miasteczkiem małym i nie byłoby sensu zakładać tu liceum dla dzieci wyłącznie miejscowych. Szkoła swój byt oparła przede wszystkim na młodzieży z pobliskich wsi, takich jak Nienadówka, Trzeboń, Trzebuska, Górno, Turza i Zielonka.

Nie powstałaby nigdy w Sokołowie szkoła średnia, gdyby nie jeden jeszcze fakt — bodaj najważniejszy. W okresie okupacji na terenie Sokołowa i okolicznych wsi zorganizowane zostały kursy tajnego nauczania w zakresie szkoły średniej. Prowadził je od r. 1942 w Sokołowie prof. Michał Winogrodzki, w Nienadówce Jan Nowiński, w Górnio Józef Kielbaso, który wypowiada te słowa.

Przez kursy te przeszło tyle młodzieży, że można się było pokusić potem o stworzenie gimnazjum w głównym ośrodku nauczania, w Sokołowie.

Trzeba pamiętać, że to co wypadło w czasie totalistycznej wojny inteligencja polską, a w tym także nauczycielstwo, z miast na głęboką prowincję, przytrzymało ją po wypędzeniu Niemców jeszcze w dalszym ciągu przez jakiś czas na starym miejscu, głównie z powodu utknięcia ofensywy

radzieckiej na Wisłoku i Wiśle. Ten fakt tłumaczy zjawisko powstania w r. 1944 na terenie Lubelskiego i Rzeszowskiego wielu szkół średnich w małych miejscowościach, gdzie z aprowizacją żywnościową było nieco lepiej niż w wielkich miastach. Nauczycielstwo utrzymywało się wtedy nie tyle z pensji, ile z opłat w naturze, jak masło, zboże, jaja itp.

W połowie sierpnia (1944 r.) udała się z Sokołowa z upoważnienia Miejskiej Rady Narodowej delegacja nauczycielska w składzie dwu osób i mnie do Rzeszowa i uzyskała od przebywającego tu ówczesnego ministra oświaty dr Stanisława Skrzyszewskiego ustne, ale miarodajne zezwolenie na założenie w miasteczku gimnazjum i liceum.

Nauka zaczęła się w gimnazjum sokołowskim, bo tak się wówczas ta szkoła nazywała, z początkiem września w starym budynku przy ul. Rzeszowskiej. Był to dom opuszczony przez szkołę podstawową, który w czasie wojny służył jako magazyn na zboże i siano. Dzięki zapobiegliwości dyrektora, którym wybrany został Winogrodzki, troskom Miejskiej Rady Narodowej i bezprzykładnemu entuzjazmowi młodzieży miasta, stary i podniszczony ten budynek został odczyszczony, oszklony, a sale zaopatrzone w pulpitami, ławkami, stolami i tablicami.

Czy były trudności w zorganizowaniu grona nauczycielskiego?

(Ciąg dalszy na str. 2)



Fot. — CAF A. ŁOKAJ

Kilka uwag z upalnego lata

(Ciąg dalszy ze str. 1)

blina taszczyli w worach chleb, którego w Bieszczadach podobno nie było, należy odłożyć do archiwum jak piękne bajki o żmijach, żubrach, niedźwiedziach grasujących po biwakach, o pięć metrów w bok od asfaltowej drogi...

Ze nie jest jeszcze idealnie? Na pewno. Przed kilku laty byłem jednym z wielu, którzy postulowali utworzenie w Bieszczadach systemu usług turystycznych dostosowanych do sezonowości ruchu. Tak zrodziła się koncepcja obwoźnej poczty, która przed laty obwieszczała swój przyjazd sygnałem trąbki, a dziś popularną piosenką: „Ludzie zejdźcie z drogi, ho listonosz jedzie” ruchomego ambulansu, obwoźnego handlu. Instytucje te bardzo się w Bieszczadach przyjęły. I jeżeli do dwóch pierwszych nie mam zastrzeżeń, to dziwię się, że samochód, jakim GS Czarna rozwiozł towar dotąd się nie rozleciał. Podobnie, jak nie mogę zrozumieć dlaczego tenże samochód przez pewien czas zatrzymywał się na przykład w osadzie leśnej w Dwerniczku (uzbięłoby się tam jak by dobrze liczyć co najmniej trzydzieści dusz), a potem naraz przestało mu się opłacać handlować z ludźmi, dla których taki rodzaj handlu — to było po prostu wybawienie z wielu kłopotów.

Obserwując ruch turystyczny w lipcu, trochę w sierpniu, dochodzę do wniosku, że kłopoty, jakie mamy z wyżywieniem turystów nie wynikają jedynie z braku zakładów gastronomicznych. Postawiłbym nawet bardzo ryzykowną tezę: nie wiem, czy zbudowanie dalszych kilku restauracji radykalnie rozwiąże problem. W czasie największego ruchu byłem świadkiem, gdy jedne restauracje pękały dosłownie w szwach — Sarnok, Lesko, gdy w innych — Lutowska, Czarna było prawie pusto. Sceny, jakie zanotowałem w Solinie — to zupełnie oddzielny rozdział, który jak sądzę, napiszę w listach do redakcji i władz samy turyści. Czy nie warto przemysleć na przykład pewnych doświadczeń, jakie mieli w ostatnich latach dobre duchy bieszczadzkie bezdroży — harczerze.

Organizowali oni i organizują zresztą nadal harcerskie stacje turystyczne. W latach, gdy nie było jeszcze restauracji w Czarnej, Lutowskich, Ustrzykach Górnych, karmili nas w „restauracji” pod namiotem smacznym gulaszem i baraniną. W Brzegach Górnych prowadził strzeżony parking, gdzie zostawiliśmy samochód idąc na Wetlińską. Kilkunastoletni chłopcy udowodnili wtedy, że istnieje możliwość stworzenia elementarnych usług bez wielkich nakładów, inwestycji, na

czas najgorętszy. Z sympatią wspominam i obserwuję te harcerskie wysiłki. Młodzi chłopcy podpowiadają starszym panom, że może rzeczywiście do czasu nim uzyskamy względne wskaźniki w ilości miejsc gastronomicznych, metrów kwadratowych powierzchni ni magazynowej, warto zastanowić się nad tworzeniem sezonowej zastępczej bazy gastronomicznej, tam gdzie jest ona najbardziej potrzebna? Odejść turyści, zwinie się namiot, nie będzie wielomiesięcznych przestojów i kelnerek nudzących się za bufetem, nie będzie strat ciężących wielkim kamieniem nad sezonową gastronomią...

*

Lakoniczna notatka prasowa poinformowała czytelników, że liczba turystów przewożonych w naszym kraju przez pojazdy mechaniczne przekroczyła liczbę turystów podróżujących PKP. Dynamika wzrostu turystyki motorowej na całym świecie, podobnie zresztą jak i w Polsce, jest wyjątkowo duża. Z faktu tego musimy wyciągnąć wnioski, gdyż przeciwstawianie się motoryzacji przypomina trochę oburzenie Anglików na pierwsze lokomotywy, jakie pojawiły się w sielskim pejzażu.

Dlatego, czy to się nam podoba czy nie, do bieszczadzkiej Mekki — Soliny ciągną setki pojazdów. Możliwość takiego ruchu można było przewidzieć obserwując choćby to, co się w kraju dzieje w odkrytych lub modnych rejonach i miejscowościach. W Solinie o tego typu turyście nie myśli się wcale. Jest on złem koniecznym, które trzeba czym prędzej wypłenić. Cały rejon osiedla solińskiego składa się z wielkiej ilości znaków zakazu: zakaz wjazdu, zakaz parkowania, zakaz zatrzymywania się, zakaz wszelkiego ruchu pojazdów, jeden kierunek ruchu. Jest to dla mnie ten sam logiczny ciąg utrudnień, jaki stwarzano nie jeden raz, by turyście obrzydzić życie. Nie mogłem po prostu uwierzyć, że turystów puszczono na koronę zapory, by mogli z niej popatrzyć na wielką wodę...

Przecież i to należało do systemu zakazów, z jakich składa się ten kawałek góry z ciasno ustawionymi domami po budowniczych zapory, w których panie dzieje — zbudujemy międzynarodowy ośrodek, z „szukanami” i ściąganiem turystów z całego świata i będziemy zbijać do państwowej kiesy ciężkie dolary.

A ci turyści, żeby nie mieć kłopotów z parkowaniem „krajowników”, to na pewno przyjdą piechotą.

KONSERWATORSKIE

Ryszard Stachnik

Lekarze zabytków

Nie o skansenach będzie tu mowa, a raczej o tych, którzy również i skanseny pracą swych rąk wyczarowują...

Nie mogę się jednak powstrzymać od „doprawienia” kontrowersyjnej receptury na „barszcz z jednego czy też z dwu grzybów”, suplementem o konieczności uwzględnienia problemu... trzeciego grzyba (dotyczy to not plemicznych F. Kotuli i Z. Wawszczaka zamieszczonych w nr 31 (409) „Widnokragu”, a nawiązujących do artykułu red. Z. Wawszczaka zamieszczonego w nr 26 (404) tegoż tygodnika).

Zaprawione niepokojem refleksje, nawiązujące do tego sporu na temat metaforycznych plechowców, odkładam jednak na zakończenie tego artykułu i przystępuję do meritum sprawy....

W Jarosławskim „Domu Wójta” przez wiele powojennych lat mieścił się magazyn mąki.

ZWIERZENIE W. SOBOCKIEGO

Obecnie w jego odnowionych siedemnastowiecznych wnętrzach zamieszkuje Zakład Pracowni Konserwacji Zabytków. Członkowie załogi tej placówki, sami odnowili swą — budzącą obecnie zrozumiałą zazdrość — siedzibę, podobnie jak i znajdującą się w bezpośrednim sąsiedztwie dawną synagogę, w której znalazło pomieszczenie Liceum Sztuk Plastycznych.

Ten to obiekt stał się pretekstem do zwierzeń kierownika wspomnianej placówki — Wojciecha Sobockiego:

— Nie tak znów dawno, na szczycie tej budowli rosły gęste zarośla. Dzieciaki bawiły się w chowanego, a ja zbierałem tam maliny. Długo i z uporem walczyłem o ratowanie tego — przeznaczonego już na rozbiórkę — obiektu, a później nadzorowałem jego odbudowę. Jednak, gdy nadszedł moment otwarcia, zapomniano mi nawet przysłać zaproszenie do udziału w tej uroczystości.

...

No cóż... być może, zwierzenia Wojciecha Sobockiego nie są typowe dla atmosfery towarzyszącej całokształtowi działalności jarosławskiego Zakładu Pracowni Konserwacji Zabytków, ale fakt faktem, iż odbywa się ona w pewnym stopniu „w konspiracji”. Niedostatek popularyzacji oraz zainteresowania rezultatami działalności tej placówki, nie wynika ją chyba z tej racji, że jest ona tylko „delegaturą” oddziału wojewódzkiego w Lublinie. Przecież swego czasu oddział wojewódzki mógł powstać i w Rzeszowie, gdyby...

NIEDZIELNI KOLEKCJONERZY

Właśnie! Do wszystkiego potrzebne jest „coś”, co niektórzy

w klasach szła bez przerw. Odbywały się wizytacje władz kuratorskich z Rzeszowa, konferencje nauczycielskie, otwierano nowe okresy szkolne i zamykano stare. Tak przeszedł szybko cały jeden rok, pierwszy, najtrudniejszy, pionierski. O podwójnie bogatym, można by rzec, plonie.

Osada średniowiecznych garncarzy w Przemyślu

PRZEMYSŁ
W dzielnicy Zasanie w Przemyślu odkryto pozostałości wczesnośredniowiecznej osady garncarzy. Natrafiono tu na 12 pieców garncarskich, jeden piec hutniczy przeznaczony do obróbki żelaza oraz chatę sprzed dziesięciu wieków. Znalaziono też ogromną ilość zabytków ceramicznych, m. in. wiele misternie wykonanych glinianych płytek posadzkowych. Odkrycie to świadczy o istnieniu nad Sanem rzadko spotykanego w Polsce ośrodka garncarskiego z epoki wczesnego średniowiecza. Na jednej z odkrytych płytek widnieje kunsztownie wyrzeźbiony w glinie wizerunek, przedstawiający orla piastowskiego. Zabytek ten pochodzi z XIV w. Dowodzi to, że ośrodek produkcyjny w Przemyślu był jeszcze wówczas czynny.

(w. j.)



Chałupa z Komańczy — Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Fot. R. STACHNIK

i rzemieślników, chociaż jestem przekonany, iż wielu z nich zasługuje na to pierwsze miano! Ograniczę się tutaj do stwierdzenia, że powszednie ich kontakty ze sztuką rozbudziły u niektórych szlachetne namiętności. Kolekcjonerska pasja rozkochanych w pięknie smakoszy, zamieniła zakątki ich mieszkań w minimum ciekawych drobiazgów. Pasji tej uległ także i wspomniany tu już kierownik Zakładu — Wojciech Sobocki, który oprócz bogatego zbioru znaczków pocztowych, posiada unikalną kolekcję stempli z czasów minionej wojny, a wśród nich chyba jedyny zachowany komplet filatelistyczny z rzeszowskiego getta!

Kolekcjonerskie namiętności stanowią przedmiot niedzielnych zainteresowań wielu przedstawicieli załogi jarosławskiego Zakładu Pracowni Konserwacji Zabytków. Natomiast efekty zainteresowań ich dnia powszedniego można spotkać (i często podziwiać!) w wielu punktach nie tylko Rzeszowszczyzny, czego przykładem może być też jakaś tam cząstka udziału ich przedstawiciela przy renowacji zabytkowego pałacu Talleyranda w Paryżu (jest on siedzibą naszej ambasady)!

Najbardziej popularnym efektem działalności wspomnianej jarosławskiej placówki jest Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. W tym roku na jego terenie prowadzi się prace przy rekonstrukcji pięciu dalszych ratowanych od zapomnienia obiektów. I dlatego też z tym tematem pośrednio łączy się spór doc. Kotuli i red. Wawszczaka na te-

mat skansenów i... grzybów. Chcę i ja dorzucić swoje „trzy grosze” (a właściwie — przynajmniej jeszcze jeden „grzyb do barszczu”), ale zgodnie z zapowiedzią jeszcze nie czas na te dygresje.

DUŻO, CZY MAŁO?

Ogółem tegoroczna moc przerobowa jarosławskiego Zakładu Pracowni Konserwacji Zabytków wynosi jedenaście milionów złotych. Oprócz rekonstrukcji wspomnianych obiektów sanockiego skansenu, wykonane zostaną jeszcze m. in. prace konserwacyjne największego w Polsce kościoła gotyckiego z początku XVI w. na terenie wsi Haczów; adaptacja byłej synagogi w Ustrzykach Dolnych na Powiatową

Miejską Bibliotekę Publiczną, adaptacja byłej szkoły katedralnej w Przemyślu na oddział ambilnego Muzeum Ziemi Przemyskiej, adaptacja ruin teatru dworskiego Poniewskich w Horyńcu na kino i wiejski dom kultury, no i oczywiście kontynuacja — prowadzonych obecnie na tzw. kurtynie zachodniej — prac konserwatorskich na zamku w Krasiczynie. To tylko część tegorocznych zadań (trudno byłoby tu wymienić wszystkie!) z zakresu wykonawstwa konserwatorskiego. Oprócz tego własna pracownia konserwacji dzieł sztuki prowadzić będzie m. in. prace konserwacyjne sgraffit na byłej synagodze w Zamościu (województwo lubelskie), konserwacje ikonostasu z Hańczonej, a także dwóch obrazów z Małej w powiecie ropczyckim oraz stanowiącego dużej miary rewelację, obrazu (przedstawia najstarszy widok Zamościa!) z Bukowiny w powiecie biłgorajskim. Wreszcie specjalizujący się w kowalstwie artystycznym dział produkcji pomocniczej oprócz konserwacji bram z Kozłówek w powiecie lubartowskim i ogrodzeń dla zamków w Krasiczynie i Łańcucie wykona metalowe wyposażenie artystyczne dla wszystkich wykonywanych obiektów.

Jedenaście milionów złotych to dużo, czy mało?

Nie czekając na odpowiedź wyjaśniam, iż w tym konkretnym przypadku nie jest to dużo, a w każdym razie... znacznie poniżej potrzeb terenu! Ale w przeciwieństwie do większości typowych sytuacji, tutaj pieniądze jednocześnie jest i za mało, i za dużo!

Wbrew pozorom nie jest to ani absurd, ani zagadka, ale zasadniczy problem tego zagadnienia...

Początki Liceum w Sokołowie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Jak mogłoby się bez nich obejść? Oczywiście, że były. Ale i one zostały pokonane. Skompletowano skład wykładawców do wszystkich przedmiotów. Znaleźli się tu przedwojenni nauczyciele szkół średnich, jak prof. Andrzej Dańczak i prof. Winogrodzki, i prof. Uniwersytetu ks. dr Stefan Szydelski, a także kilku inżynierów, m. in. Władysław Nowiński oraz nauczyciele ze szkół podstawowych (Jaworski, Smołakowa).

Nauka zaczęła się równocześnie w klasach gimnazjalnych i licealnych, przy czym w klasie I i II gimnazjalnej stworzono po kilka oddziałów. Z braku pomieszczeń wynajęto dla paru klas pokoje w mieszkaniach p. Kowalikowej i p. Cieślakowej.

Początki w szkole były najeżone trudnościami. Brakło w ogóle podręczników dla uczniów i uczenie, nie zawsze posiadali je nawet nauczyciele. Jeszcze gorzej było z zeszytami. Należy na tym

miejsu wspomnieć pomoc wojska radzieckiego. Na dziedzińcu szkolnym w pierwszych dniach września — połowa drukarnia wojskowa ze sztabu marszałka Koniewa. Tu właśnie tłoczono pierwsze numery „Żołnierza Wolności”. Żołnierze radzieccy oddali na użytek szkoły całą olbrzymią bełę papieru na zeszyty. Nie był to papier najlepszy, ale w tym czasie jedyny, o jakim można było marzyć.

Młodzież uczyła się w warunkach bardzo ciężkich. Bardzo wielu chłopców i dziewcząt dochodziło do szkoły z odległych krańców wsi. Nie można zapomnieć o tym, że do frontu było blisko. Jesienią 1944 r. na Sokołowie dokonała Luftwaffe kilku nocnych nalotów bombowych. Jednej nocy został obrzucony szrapnelami nawet teren szkoły, na szczęście bez szkód.

Mimo przeszkód wszelkiego rodzaju, do których dołączał się w czasie zimy np. brak opału, nauka

DYLEMATY i... trzeci grzyb

WYJASNIENIE ZAGADKI

Wiadomo, że miniona wojna pozostawiła straty nie tylko w ludzkim życiu; pochłonęła ona również 37 proc. zasobów architektonicznych naszego kraju. Praktycznie przestało istnieć wiele zabytkowych kompleksów budownictwa miejskiego i wiejskiego. Równocześnie, zachodzące przemiany gospodarczo-cywilizacyjne, w nieodwracalny sposób niosą ze sobą także zanik dawnych form budownictwa.

I w tym to zakresie nieocenione zasługi dla kultury narodowej wniosły istniejące od 20 lat. P. Pracownie Konserwacji Zabytków, które kosztem około dwóch miliardów złotych odbudowały prawie 4300 zabytków architektury i konserwowały około 6 tys. dzieł sztuki, nie licząc wielu innych prac. W tym kontekście Rzeszowszczyzna spełnia — w pewnym sensie — rolę przysłowiowego Kopciuszka. Jedenaście milionów złotych planowanych możliwości przerobowych Jarosławskiego Zakładu PKZ, stanowi zaledwie jedną trzecią możliwości wykorzystania wojewódzkich funduszy przeznaczonych na konserwację zabytków. Poważna część pozostałych kwot bywa nie wykorzystywana i oczywiście często przepada! Jako znamienne przykłady wskazano mi tu na fakt, iż z Funduszu Budowy Szkół i Internatów przeznaczono na 1969 rok również 11 milionów złotych na prace konserwatorskie w Krasie. Prawdopodobnie... pieniądze te nie zostaną nawet napoczęte! I takie właśnie jest wyjaśnienie pozornej zagadki!

Wszystko wskazuje na to, że Rzeszowszczyzna nie pozbędzie się w tym zakresie roli Kopciuszka tak długo aż nie powstanie tu, od nikogo niezależny i na sprawy swego regionu odpowiedzialny wyczułony, samodzielnny oddział wojewódzki PKZ.

Kiedy to nastąpi? Trudno bawić się w proroka, ale chyba nieprędko, gdyż trzeba będzie przy tej okazji odrabiać lekko-myślne niedocenianie tego faktu, przed kilkoma zaledwie laty.

Tymczasem już od 1 stycznia przyszłego roku zacznie działać przy wspomnianej Jarosławskiej placówce — jedyne w kraju — główne laboratorium konserwacji drewna zabytkowego. Oczywiście obejmie ono swym zasięgiem całą Polskę i będzie jedynym dowodem wysokich umiejętności tamtejszych specjalistów.

CO MNIE NIEPOKOI?

Czas wreszcie na zaawizowany już suplement do skansenów kontrowersji doc. Kotuli i red. Wawszczaka. Szkoda, iż w interesującym tym sporze (nie wiem, czy nie za mocne to słowo?) nadmiar niedostatecznie kontrolowanego temperamentu, nie pozwolił jednemu z polemistów na spokojniejsze wyważenie argumentów. Być może, stanowiąca i w tym wypadku „złoty środek” racja, byłaby bliższa punktu widzenia obu stron. A przecież również i przy tej okazji „tylko spokój może nas uratować” od popelnienia podobnych jak w przypadku sanockiego skansenu lub nowych błędów. Wydaje mi się, że nie całkowicie uzasadnione są obawy red. Wawszczaka o brak odpowiednich funduszy (przecież z racji braku mocy przerobowej przepadają większe niż na ten cel są potrzebne), ale i nie zawierzylbym ich niedostatecznie skonkretyzowanym sugestiom doc. Kotuli.

Nie od rzeczy (powoływano się w tym wypadku na Ryge, Sztok-

holm i Bukareszt) będzie wspomnieć o tym, że budujący się parków etnograficznych Jugosławianie także dzielą je na części muzealne i turystyczno-rekreacyjne. Biorąc pod uwagę niebagatelny argument ekonomicznej opłacalności (nie wolno go lekceważyć z pozycji tzw. czystej sztuki!), zdecydowano tam, iż w kosztach — oprócz dotacji państwowych — współuczestniczą przedsiębiorstwa turystyczne, gastronomiczne i hotelarskie. Oczywiście, celem uniknięcia zagrożenia obiektów muzealnych, część rekreacyjną lokalizuje się w odpowiednio do tego celu adaptowanych budynkach, a nawet całych uliczkach, przy których znajdują pomieszczenia odtwarzane wg dawnych wzorów lokale gastronomiczne, sklepy, warsztaty rzemieślnicze, a także i przestrzeń przeznaczana na pokazy ludowych obrzędów i widowiska regionalne. W takich warunkach będzie miejsce również i na sugerowany przez doc. Kotulę „wypoczynek dla ludzi pracy i przygody oraz zabawy dla tysięcy dzieci i młodzieży”. Koncepcja ta osobiście bardzo mi odpowiada, ale z góry trzeba tu założyć dokonanie tego, kosztem pewnych kompromisów, których akceptacji jakoś (może się mylę?) nie doszukałem się między wierszami opublikowanego na tych łamach listu doc. Kotuli.

„Ale niepokoi mnie w tej dyskusji coś innego, coś co nazwałbym problemem „trzeciego grzyba do barszczu”.

Otóż... myliłby się ten, kto ze wspomnianego sporu wyciągnąłby wniosek, iż chodzi tu o perspektywę współistnienia na Rzeszowszczyźnie tylko dwóch skansenów. Pomijając już nawet rodzący się w Bóbrce koło Krosna miniskansen przemysłu naftowego, na uwagę (a chyba i na towarzyszącą tej koncepcji dyskusję!) zasługuje projekt utworzenia dużego skansenu cerkiewnego, którego początkiem miała być pięknie położona i właśnie niedawno przez Jarosławski Zakład PKZ oddana do konserwacji cerkiew w Smolniku. Piszę „miała być”, gdyż w ostatnich dniach specjalna komisja zdecydowała o zmianie lokalizacji tego parku etnograficznego. Postanowiono, że powstanie on nie przy bieszczadzkiej obwodnicy, ale przy leżącej na uboczu wiosce — Caryńskie. Celowo nie rozma- wiałem na ten temat z tzw. kompetentnymi czynnikami, gdyż wiem z doświadczenia, iż prawie wszystkie można jakoś uzasadnić. Przyznam się jednak, że niepokoi mnie ta decyzja. Czyżby i w tym wypadku estetyzm miał przeważyć logiczny związek argumentów wynikających z sojuszu sztuki i ekonomii, bo nie chciałbym domyślać się, żeby chodziło tu tylko o zmianę przez kogoś innego wcześniej wydanej decyzji...

Sprawa jest chyba zbyt poważna, aby przejść nad nią do porządku dziennego. Dostępnym doświadczeniom dostarczyła już lokalizacja (nie przy bocznej drodze, lecz w mieście, a jednak... na uboczu; przez co większość wycieczek rezygnuje ze zwiedzania!) Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku?! Budowa skansenu cerkiewnego w Bieszczadach kosztować będzie kilkakrotnie więcej niż obecne koszty sanockiego obiektu i dlatego trzeba koniecznie przy lokalizacji przewidzieć również walory maksymalnej dogodności dla ruchu turystycznego. Nie czas na kosztowne twory czystej sztuki!

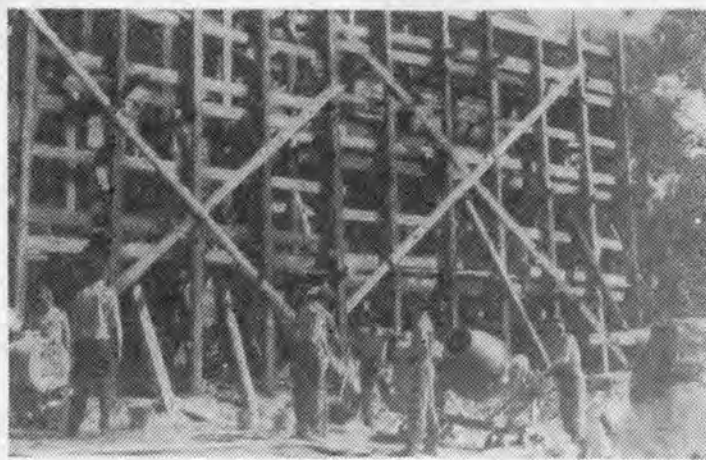
A może nie mam racji? W każdym razie warto chyba zainicjować na ten temat szeroką, publiczną dyskusję...

RYSZARD STACHNIK

Zbigniew Wawszczak

...a jednak ratować?

Smukłą sylwetkę haczowskiego kościółka otacza kratownica belek, rusztowań. Taką samą wypełnia szczerlnie wnętrze. Gdy przyjrzeć się bliżej, okaże się, że te wewnętrzne rusztowania podtrzymują poczerniałe ze starości, gontowy dach, a te od zewnątrz — dziedzą w powietrzu ściany obiektu. Wokół kościoła uwija się grupa opalonych na brąz robotników. Kręci się betoniarzka, zmieszana z cementem żwir do-



Haczowski kościółek otacza kratownica rusztowań.
Fot. ZB. WAWSZCZAK

starczany jest taczkami do ciągnięcia się wzdłuż ścian wykopów. W ten sposób powstaje, wzmocniona dodatkowo żelaznymi prętami, betonowa ława fundamentowa. Prastary obiekt, którego wiek przesunięto ostatecznie na 15 stulecie, wspierać się będzie teraz na wskroś nowoczesnych, żelbetonowych podwalinach. Konserwatorzy, z którymi przyjechałem tu w upalny, letni dzień, uważnie oglądają prowadzone roboty. Udajemy się pod drugą, północną ścianę, w miejsce, gdzie wysypywana jest właśnie zawartość tacek. Przedmiotem dyskusji jest wysokość ławy fundamentowej. Nie może ona wystawać ponad ziemię, musi być całkowicie zamaskowana, tak by ludzie oglądający kiedyś, za lat parę zrekonstruowany kościół, nawet nie domyślali się wprowadzonych poprawek. Dopiero na tej ławie położona zostanie podmurówka, częściowo z kamienia, który trzeba sprowadzić z Sanoka. Konserwatorzy, mgr Jerzy Tur i mgr Ryszard Brykowski niepokoją się, czy aby kamień ten będzie identyczny z tym, który wyjęto z dotychczasowych podmurówek, a który w beładnych stertach zalega tu i ówdzie.

Kierownik Buliński z Pracowni Konserwacji Zabytków w Jarosławiu zapewnia, że kamień sanocki jest niemal taki sam. Mniej więcej za tydzień ława będzie gotowa, a wtedy trzeba natychmiast układać podmurówkę z kamienia. Tutaj jednak wyłania się nowy kłopot. Na miejscu nie ma dokumentacji starej podmurówki, a nikt nie może sobie przypomnieć, jak też naprawdę wyglądała. Zresztą poleganie jedynie na pamięci mogłoby zawieść. Trzeba więc jak najszybciej sporządzić odbitki ze zdjęć dokumentacji fotograficznej kościółka, która znajduje się u przyszłego dysponenta obiektu, w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Przy kopiowaniu zaś, ze względu na pilność sprawy, należy zacząć właśnie od zdjęć, utrwalających dolne partie kościoła, szczególnie ową podmurówkę. Wyłania się jeszcze jedna wątpliwość, czy aby są takie zdjęcia? Ale chyba są, powinny być! No tak, podmurówkę majstrowie mogą zrobić, obywatelom zaś bez żadnych zdjęć, ale tu przecież chodzi o to, aby nie uległo zmianie. Ten problem trapi ludzi zajmujących się odnawianiem zabytków nie od dzisiaj. Dawniej konserwatorzy nie mieli aż takich skrupułów, pozwalali sobie to i owo zmieniać, niekiedy dodając, jednym słowem

pójść na rozmaite ułatwienia. Ale dzisiaj obowiązuje bezwzględna wierność wobec tego co przekazały ubiegłe wieki, delikatnie usuwa się wszelkie późniejsze nawarstwienia, przywraca pierwotny wygląd, kształt, nie tylko malowidłom, rzeźbom, lecz i gmachom. To jest jedna z kardynalnych zasad współczesnej sztuki konserwatorskiej, jak się wydaje, zasada ze wszech miar słuszna...



Współcześni Cyganie

Zaczepiam jednego z robotników, wdajemy się w pogawędkę. Mój rozmówca nazywa się Edward Sura, pochodzi z Dubiecka, rodzinnego miasteczka „księcia poetów stanisławowskich”, Ignacego Krasickiego. Miejscowość ta słynęła przed laty szeroko jako ośrodek ciesielsko-stolarski, pan Sura jest więc spadkobiercą dawnych cieśli dubieckich.

— My tu żyjemy jak Cyganie — śmieje się Sura — co jakiś czas, gdzie indziej, raz tu, raz tam. Ja już jestem 8 lat przy zabytkach, robiłem już przy niejednym, przy dworku Matejki pod Krakowem, w Krzesławicach, przy zamku w Krasie, przy cerkiewkach w Radrużu, Smolniku, Kotani...

— To Pan poznał już arkany sztuki ciesielskiej dawnych mistrzów?

— O pewnie, znam się trochę na starych budowlach, prawie przy każdej coś nowego wychodzi, coś nowego się zobaczy...

— Dobrymi majstrami byli ci dawni cieśle?

— Oj tak, panie pierwszorzędnymi! Ale drewno, z którego robili te wszystkie wymyślne zamki, te złączenia bez jednego gwoźdźca — musiało być porządnie suche. Inaczej te budynki nie doczekałyby naszych czasów!

Obok leżą grube, dębowe pnie, ociosane w potężne belki. To robota cieśli dubieckiego, brygadzysty Sura i jego kolegów, również mistrzów siekiery.

— Ale dziś zajmujecie się betonowaniem?

— Robimy co potrzeba! — śmieje się Sura. — A tutaj w Haczowie, jak dobrze pójdzie, będą pieniądze i materiały, roboty starczy najmniej na trzy lata!

Kosztowna i skomplikowana robota...
Mozolna i kosztowna to praca przy renowacji zabytków, wymaga materiałów najwyższej jakości, drobiazgowych zabiegów, badań, ustaleń specjalistów wielu dziedzin: historyków sztuki, architektów, konserwatorów, inżynierów...
Wróćmy do naszego kościółka. W tej chwili jest on niejako zawieszony w powietrzu. Skoro na betonowej ławie stanie kamienna podmurówka (możliwie wiernie zrekonstruowana), cieśle przystąpią do układania potężnych, dębowych podwalin, następnie modrzewiowych belek

ścian. Krok za krokiem będą posuwać się ku górze, każdą belkę wyjętą z dotychczasowej konstrukcji zastępować będą nową, możliwie identycznego kształtu. Stare belki spróchniały, uległy za- grzybieniu w ciągu stuleci, ale tu też wylania się nie lada kłopot. Przecież na tych belkach znajduje się wyjątkowo piękna i cenna polichromia gotycka, datowana na r. 1494. Malowidła te poddawano w ubiegłych latach rozmaitym zabiegom konserwatorskim, one to obok architektury stanowiącej mając o randze, wartości kościółka. Trzeba je będzie teraz z największą ostrożnością odcinać wraz z pasmem drewna od zagrzybionej belki, naklejać na nową. Można sobie wyobrazić jak mozolna to — delikatna, wymagająca benedyktyńskiej cierpliwości, robota.

Przez setki lat nikt nie rozczulał się nad budowlami z drewna, choćby były najpiękniejsze. Służyły dopóty dopóki nie zniszczył je czas. Wtedy rozbierno je i zastępowano nowymi. Dopiero nasze czasy, współczesna technika, chemia — dały ludziom środki, za pomocą których można ratować to, co dawniej w sposób naturalny skazane było na śmierć i podobnie jak śmierć ludzka mogło jedynie wywołać bezsilny protest. Żyjemy w epoce, która próbuje przedłużyć życie ludzkie, żyjemy w czasach, które już przedłużają życie zabytków. Przykładem takiego właśnie zabiegu służącego może haczowski kościółek. Gdyby nie interwencja władz konserwatorskich, dawno nie byłoby z niego śladu, rozebrano by go i spalono. Haczów zbudował sobie nowy, murowany kościół, a wysłuchony (walorami architektury znacznie przewyższający swego następcę staruszek) przestał po prostu być potrzebny.

Postawiłem pytanie, czy warto przedłużać życie temu, co naturalną koleją rzeczy, rozleciałoby się w proch? Nie jestem konserwatorem, historykiem sztuki. Ale jako człowiek przyjaźnie nastawiony do tego, co nazywamy dziedzictwem po minionych wiekach, po przodkach, rozumiem pietetyzm, z jakim traktowany jest haczowski zabytek. Przez dziesiątki lat sądzono, że jest to obiekt stosunkowo późny, siedemnastowieczny, sugerowała to niewątpliwie barokowa wieża. Ale gdy przystąpiono do szczegółowych badań, gdy pod barokową polichromią odkryto gotycką, wyraźnie datowaną, stało się oczywiste, że to tylko wieża jest o dwa stulecia późniejsza, sam zaś obiekt powstał w 15 stuleciu. W porównaniu z innymi, dodajmy nielicznymi w Polsce budowlami sakralnymi z tego okresu, drewniany kościół haczowski imponuje swą monumentalną bryłą. Jego rówieśnik w podhalańskim Dębnie jest znacznie mniejszy.

W świetle szczegółowych badań, studiów, prowadzonych przez specjalistów nie tylko przedłużono o dwa stulecia metrykę Haczowa, ale i przyznano mu wyjątkową rolę w obrazie krajowej architektury drewnianej. Za tym poszły decyzje o ratowaniu szacownego zabytku, o konserwacji polichromii, wieży. Obecnie przystępuje się do konserwacji zrębu, następnie przyjdzie kolej na dach. Robotnicy z Jarosławskich PKZ-tów, z którymi rozmawiałem, nie przesadzili ani trochę, twierdząc, że prace potrwać tu co najmniej trzy lata. Ze swej strony uważam, że warto by pokusić się — jeżeli to możliwe — o skrócenie tego terminu. Bardzo już kiepski, dziurawy dach stanowi poważne zagrożenie dla polichromii, zresztą dla całego, zrekonstruowanego z takim mozolem obiektu. Po zakończeniu prac — zostanie w nim ulokowana galeria drewnianej rzeźby gotyckiej.

Justyna Woś

Piętnaście kilometrów na godzinę...



Fot. JANUSZ WITOWICZ

MALUTKIE WAGONIKI, infantylnie prezentująca się lokomotywa, wąski tor o prześwicie 760 milimetrów (!) i szybkość... 15 km/godzinę. Środek lokomotywy, którego przeznaczenie dzisiaj, w erze prędkości kosmicznej może się mieścić w sferze zabawy z lunaparku.

Fakty przekonują, wbrew pozorom — wskazują na wielką użyteczność kolejki, która przez dziesiątki lat wciśnięta w głąbie Bieszczadów. Na jej szlaku rozgrywały się boje I wojny, wzdłuż jej toru spustoszenie wniosła II wojna, przy jej stacjach zrównane z ziemią zostały wioski, po których pozostały tylko nazwy. Kolejka — wreszcie stała się bodźcem do nowego życia, aktywizacją wyłudnionego terenu — wierne dziś sekunduje wielkim przeobrażeniom gospodarczym.

To już ponad 70 lat — obliczam w myśli, kiedy Józef Adamczyk z encyklopedyczną dokładnością i skrótowo relacjonuje dzieje kolejki.

Ojciec był świadkiem otwarcia w 1895 roku linii wąskotorowej Cisna — Łupków. Ojciec spędził sporą część życia na kolejce, ojciec przekazał synowi pałeczkę w kolejarzkiej sztafecie, a wraz z nią historię i wiedzę — jedyny

dzisiaj ustny dokument. Dzięki temu — możemy dziś ustalić, iż projektantem kolei był polski inżynier Albin Zazula, możemy też odpowiedzieć dlaczego tor wąski a nie normalny?

Argumenty te same, które prawie w dziesięć lat później nie pozwoliły na budowę normalnej kolei z Przeworska do Dynowa, nie kończąc szlaku do Brzozowa, a stamtąd do Sanoka.

W pobliżu: Twierdza Przemysł i względy strategiczne odbiły się na szerokości żelaznej drogi. Wąska kolej bieszczadzka z Cisnej łącząc się trakcją normalną w Łupkowie z jednej strony stanowiła część linii biegnącej do Przemysła (Zagórz — Chyrów), z drugiej w kierunku południowym (przez Przełęcz Łupkowską) stanowiła najkrótszy szlak na Węgry! A taka droga byłaby poważnym zagrożeniem dla Twierdzy. Zróżnicowanie prześwitu toru gwarantowało w pewnym stopniu spokój!

Tym sposobem ostrymi lukami, sprytnie i zwinnie wśród pagórków Dynowszczyzny i bieszczadzkich stoków wija się dwa wąziutkie tory — jedyne w naszym województwie.

I mają przed sobą przyszłość! Potrzeba rodzi usprawnienia. W potrzebę tę mocno wierzy p.

Adamczyk, kierownik Działu Dróg Okręgowej Kolejki Leśnej w Cisnej. Sam się śmieje: — To małeństwo, jak zabawka...

Za chwilę poważnie:

— A praca to niebagatela. Kolejka jest pod opieką Ośrodka Transportu Drzewnego (Sanok), służy 110 tysiącom metrów sześciennych przewiezionego drewna rocznie; dłużej na przerób tartaczny do kombinatu w Rzepedzi, dowozi drewno do składnic, w Łupkowie przeladowuje się „papierówką” z małej kolejki na „prawdziwy” pociąg. Przemysł drzewny, papierniczy, chemiczny, a pośrednio i wielka metalurgia — funkcjonować może m. in. dzięki niewyczerpanym zasobom bieszczadzkiemu.

— Właśnie te wielkie potrzeby wymagają modernizacji. Przebudowuje się tory, łagodzi się łuki, nakłada się grube szyny, to pozwoli wprowadzić większy tabor wagonowy o większej ładowności. Motowozy zastąpią z czasem sympatyczne lokomotywy — osiągnie się szybkość do 25 km/godzinę...

Nie są to marzenia ze snu. Usprawnienie idzie pełną parą, bo mimo pozornej anachroniczności leśnego pociągu, ma on poważne zadanie do spełnienia w miejscu,

gdzie byłyby kłopoty z transportem samochodowym lub jakimkolwiek innym.

NIE WYSTARCZAŁ SENTYMENT

— Pani, ta my się tym szczycimy, że dzięki tej kolejce tyle pożytku. Ta niech pani popatrzy tam są domki dla pracowników kolei, tu przyjechali ludzie, a nie tak dawno było puściuteńko i strasznie — i przyzwyczaić się do życia, tutaj trudno było, o trudno — dał się sprowokować do wspomnień stróż nocny na stacji Cisna-Majdan.

Domki wylaniają się wśród drzew. Na całym 70-kilometrowym odcinku wąskotorówki około 80 osad z kilkuosobowymi rodzinami. Pionierzy w tej części Bieszczadów — to leśnicy i... kolejarze. Tu zaczynało się życie, wśród hektarów lasów i hektarów nieba nad głową. Cisna — wieś z tradycją (własność Fredrów!), w okresie międzywojennym duża, zaludniona osada, kilka sklepów, pensjonaty — wspominają ludzie. W 1945 roku Armia Radziecka stoczyła potyczkę z bandą Burlaka, ciężkie walki toczyły tu oddziały Wojska Polskiego i jednostki MO. Pomnik poświęcony pamięci poległych

milicjantów przywodzi wspomnienie całomiesięcznego oblężenia posterunku z 6 funkcjonariuszami przez dwie grupy bandy. Wieś uległa zniszczeniu... Na południowy zachód od Cisnej wzdłuż trasy kolejki — dalsza pozoła: Zubracze, Maniów, Wola Michowa i Smolniki z pamiętnym 1946.

Do niewoli UPA wziętych kilkudziesięciu żołnierzy polskich. Tortury. Makabryczna śmierć od ciosów topora...

Tereny, na których wojna trwała kilka lat dłużej. Niepokój towarzyszył jeszcze początkom lat 50-tych. Wtedy przybyło kilku odważnych. Między nimi z powiatu rzeszowskiego Bronisław Józefczyk — najstarszy maszynista. — Coś mnie przywiązało do tej kolejki, zaczynałem od palacza, pomocnika maszynisty. Nie wielu nas zostało. W Rzepedzi jest kolega, który też od 1950 roku pracuje. Ciężko było, ładunek drewna z góry, a w górę materiał budowlany — zaczęły się tworzyć osady, ale ludzi długo jeszcze nie uświadczyleś. Żywi — to z patrolu WOP. A dokumenty i przepustki nosiło się w ręce — nie było czasu włożyć do kieszeni: kontrole i strach, strach i kontrole... Zwyrodnienie? Teraz narzekamy, a przedtem — słów szkoda.

Ryszard Dzieszyński

Myśliwy z Mozambiku

Dwadzieścia lat temu, jako uczeń szkoły podstawowej zachodziłem często do znajomego rusznikarza, mającego w Krakowie niewielki warsztat. Nie posiadałem wprowadzić własnej fuzji, lubilem jednak oglądać wspaniałe myśliwskie sztucery, które przynosił mu klientel do naprawy. Ściany warsztatu były obwieszane dyplomami i fotografiami. Na jednym ze zdjęć widniała podobizna myśliwego w kasku i krótkich spodniach, opierającego niebadał nogę na cielsku zwałonego bezwładnie ogromnego słonia. W poprzek fotografii biegł napis: „Z podziękowaniem za opiekę nad moim arsenałem — Antoni Pisuliński.”

Pamiętam tę fotografię, bo zawsze wpatrywałem się w nią zafascynowany ogromem zastrzelonego słonia i sztucercem o stosunkowo krótkiej lufie, który trzymał osobnik w kasku. — „To sławny myśliwy — wyjaśnił mi rusznikarz — ale dzisiaj już zupełnie staruszek. Ma 90 lat i chyba mieszka w Rzeszowie...”

Niedawno przypomniałem sobie o sławnym myśliwym z Rzeszowa i zacząłem szukać wiadomości o nim. Szło mi to dość trudno. W końcu jednak poznałem życiorys tego człowieka, który nie odbie-

galby zupełnie od innych ludzkich biografii, gdyby nie fakt, że zawierał on wzmiankę o 10-letnim pobycie w Afryce Wschodniej.

Antoni Pisuliński urodził się w 1860 r. we Lwowie. Jak wielu innych młodych ludzi, zdał egzamin dojrzałości i zaczął rozglądać się za jakąś pracą. Został urzędnikiem bankowym i przez 5 lat pracował wytrwale i przykładowo weryfikując akta i księgi bankowe. I patrząc na niego, postronny widz miał wrażenie, że chłopiec ten nie pragnie niczego, jak tylko stabilizacji w mieszczańskim świecie. Ale pozory myliły. Pisuliński pisał potem o tamtych latach:

„Już od pierwszej mej młodości podróże po dalekich krajach miały dla mnie szczególny urok. Zazdrościłem ludziom, którzy zwiedzali zamorskie kraje i marzyłem tylko o tym, aby kiedyś w przyszłości dostać się do krajów podzwrotnikowych i własnymi oczami stwierdzić o powieści o niedostępnych, dziewiczych lasach, o bezbrzeżnych preriach i doznać przygód. Pożerałem książki o tym traktujące. Niejedną noc przepędziłem na czytaniu takich opisów, nie

jeden ranek zastawał mnie jeszcze nierozbranego, kiedyś śleczkał przy lampce z mapą w ręku... Przede wszystkim lubiłem opisy polowań na dzikie zwierzęta. Te najbardziej rozpałały moją wyobraźnię i rodziły w duszy zamiłowanie do tego sportu, któremu później z prawdziwą namietnością się oddawałem.

„Ale warunki, wśród których wyrastałem, długo nie dawały spróbować, czy ręka i oko w równej mierze z pragnieniami serca się rozwijały. Mijały lata, a z ich biegiem zdawało się, że namietność do polowania we mnie wygasta. I kto mnie wówczas widział, mieszczaucha o dość wątlej budowie ciała, piszącego przy biurku, lub wertykującego księgi i akta, nie byłby przypuszczał, że we mnie biło inne serce, niż serce urodzonego gryzpiórka...”

Pisulińskiemu w zrealizowaniu marzeń przyszedł z pomocą przyrządek. W 1883 r. napisał do niego kolega szkolny, który przebywał w Egipcie. Donosił on, że znudziło mu się pod słońcem piramid i je-

dzie nad Zambezi — polować na słonie. Wiadomość ta zelektryzowała młodego urzędnika. Odpisał, że jedzie razem z nim i już w kwietniu 1884 r. znalazł się w Egipcie. Przewędrował wraz z karawaną Sudan, a potem wsiadł na statek i pojeźdował do Mozambiku. W październiku 1884 r. wylądował w Kilimare, stolicy Zambezi, która była prowincją Mozambiku. Przez Zambezi przepływała ogromna rzeka, o tej samej nazwie, długości 2660 km, mająca źródło aż w Angoli, posiadająca sławne Wodospady Wiktorii i uchodząca wielką deltą do Oceanu Indyjskiego. Ta wspaniała i groźna rzeka, dwu i półkrotnie dłuższa od Wisły, pełna hipopotamów, krokodyli, ryb, zafascynowała Pisulińskiego. Okazało się jednak, że polowanie na słonie należy do najtrudniejszych i najkosztowniejszych przedsięwzięć. Należało najpierw pomyśleć o znalezieniu jakiejś pracy. Szczęściem, dla Pisulińskiego na terenie Mozambiku działał międzynarodowy dom handlowy. Przyszły pogromca słoni został zatrudniony jako kierownik faktorii w miejscowości Tete nad rzeką Szira, dopływem Zambezi, wypływającej z jeziora Niassa, liczącej sobie „zaledwie” 600 kilometrów długości i posiadającej liczne katarakty, zwane wodospadami Murchisona, który płynąc tą rzeką odkrył je na swej drodze. Przez 3 lata Pisuliński handlował z okoliczną ludnością. Po wygaśnięciu kontraktu objął wraz z przyjaciółmi Stanisławem i Kazimierzem Stebleckimi faktorię u ujścia Sziry, w miejscowości

Szamo, którą dom handlowy związał, a oni postanowili poprowadzić ją na własny rachunek. Trójka Polaków razno wzięła się do pracy. Zbudowali sobie dom trzcinowy, magazyn z kamienia, zasadzili plantację bananów i drzew papajowych, klomby ananasowe oraz jedyne w okolicy 3 palmy kokosowe, stanowiące przedmiot ich dumy. W tym czasie Pisuliński poznał dobrze kraj i język miejscowego plemienia Kafrow oraz tamtejszą faunę i florę. Jedyną pomocą w tych studiach był dziennik dr Davida Livingstone, który zapędził się ongiś na te tereny. Poznał również znakomitego myśliwego, Niemca nazwiskiem Sell, który jakby na przekór swoim ziomkom, był dla Polaka bardzo życzliwy. Pisuliński wiele mu zawdzięczał. Sellowi nieobce były arkana sztuki myśliwskiej. Nauczył on Pisulińskiego strzelania na słonie, Sell pomógł mu w urządzeniu całej wyprawy. A w grę wchodziły bardzo ważne szczegóły. Władze portugalskie bardzo skrupulatnie pilnowały przestrzegania praw tubylczych, zwłaszcza jeśli chodziło o korzystanie z terenów łowieckich i ziemi uprawnej. Krwawe konflikty przekonały kolonizatorów, że spokój w Mozambiku można zapewnić, nie naruszając miejscowych praw i zwyczajów, zwłaszcza że ich panowanie na tamtych terenach leżało

Tak opowiada człowiek, którego jakiś dziwny sentyment przywiązał do kolei, a siła woli i hart ducha pomagały przetrwać i wypełnić postanowienia. Józefczyk chciał zostać maszynistą... dyplomowanym. Obok pracy, która nie mieściła się w 8, niekiedy nawet i 12 godzinach, kurs i nauka. I osiągnął.

— Może to śmieszne teraz — ale ten papierek maszynisty to największa satysfakcja z tego, co osiągnąłem w życiu. Gdzie tam nauka, gdy czasy ciężkie i pilniejsza robota... Wydawało się, że nie z tego nie wyjdzie...

Przybywali młodzi. Ile mogli mieć lat ci, o których teraz mówimy „weterani” — skoro średnia ich wieku mieści się w granicach 40 lat?

Mieczysław Koliński zdradził w 1955 roku kierownicę samochodu dla lokomotywy. Osiedlił się, rodzina, dano ładne mieszkanie w osadzie. Praca. Troski zwykłe, ludzkie, dzieci rosną, trzeba pomyśleć o ich edukacji. Stąd daleko do szkół; zmieniać miejsce pracy, czy nie? Los oszczędził mu niepokojów takiego, jak jego starszym kolegom. Wydawało się, że nie będzie już okazji na sprawdzenie swojej „odwagi”. Nie te czasy.

Dwa tygodnie temu wyruszył jak zwykle na trasę z Cisnej do Łupkowa.

...i Żubracze. W ostatniej chwili zauważyliśmy dziecko na torze. Niby 15 km/godz., ale o wyhamowaniu nie było już mowy. Wyskoczył mój pomocnik, za nim ja z lokomotywy... udało mi się ściągnąć maleństwo na pobocze. Pociąg przesunął się jeszcze około 7—8 m dalej. Na koniec wstrząsnęła mną jeszcze reakcja rodziców, że niby „po co ja robię tyle krzyku, skoro nic się nie stało”...

Za chwilę już normalna praca. I życie płynie dalej swoim torem.

DIABEL MÓWI JESZCZE DOBRANOC

Na trasie Cisna — Łupków, Cisna — Smolnik — Rzepedź widać rękę wielkiej cywilizacji. Ale pozostał jeszcze jeden odcinek wąskotorówki przez Wetlinę na południowy wschód — do Uroczyska Moczarnego. Niegdyś, podobno w XVI wieku istniała tam wieś. Dziś ogromny maszyn lasów — stanowi niewyczerpane zasoby buków, jaworów, jodeł. Jest to miejsce, w pobliżu którego na szczycie Krzemienica wyznaczyły sobie zborny punkt granice trzech państw — ZSRR, Czechosłowacji i Polski.

W ten wciśnięty kocioł lasów dostojnie wjeżdża zielony pociąg, a wraca obladowany tonami, czy raczej metrami sześciennymi poszukiwanego w przemyśle drewna, pozostawiając tylko to „opalone”, gdyż koszt transportu przewyższa jego wartość. Skaza-

ne na wioletoletnie, powolne zniszczenie?

Do 1966 roku. Ta data wyznacza zwrotny moment w eksploatacji naturalnego bogactwa. W Bieszczady przybyły ekipy do nowej roboty. Ludzie pojawili się też i w Uroczysku. Dziwnie i tajemniczo w tym krajobrazie wyglądają dymiące stopy kopulasto ułożonego drewna, obłożonego trawą, gałęziami, piaskiem.

Mielerze. Kto pomyślałby, że ten sposób wypału węgla drzewnego, jeszcze z czasów „Kolodzieja Piasta” — jest do dziś najbardziej efektywnym. Komu przyszłoby do głowy, iż ten cenny produkt wędruje wprost do hutnictwa, przemysłu metalowego, że nawet szaszłyki i kiełbaski z różną w wielu miastach — skwierczą na węglu drzewnym...

Dotąd tony węgla sprowadzaliśmy — głównie z krajów skandynawskich. Może „bieszczadzki przemysł węglowy” — zaspokoi wkrótce krajowe potrzeby?... Tymczasem ciężka prowizorka, zwłaszcza dla umorusanych, przedsiębiorczych dymem robotników. Całkowita izolacja od cywilizacji. Jedyny luksus — płynąca w strumyku woda. I doba, która trwa od kwietnia do października, nie licząc godziny na spokojny odpoczynek — trzeba ciągle pilnować; mielerze muszą się tłić, nie mogą zapalić się ogniem. A potem moment najważniejszy — wygaszanie żaru. Umiejętność polewania wodą, znajomość rzeczy — to klucz do osiągnięcia odpowiedniej wilgotności węgla, według której szacuje się jego wartość. Ułatwieniem są specjalne worki z warstwą bitumowaną — w nie wleczka się syczące od kropli wody kęsy, zamykając szczelnie dopływ powietrza. Tak winno być prawidłowo — mówią diabelsko wyglądający ludzie w Uroczysku Moczarnem. Ale... Przedsiębiorstwo „Las” zajmujące się produkcją węgla, nie dostarczyło tych specjalnych worków przysyłając w zamian papierowe.

— Mamy kilka „bitumowanych”, w nich gasimy, a potem przesypujemy do papierowych — uzalają się. I rzeczywiście robota podwójna, podwójnie traci się czas.

„Każda nowość rodzi się w bólach” — w kilka dni później padła odpowiedź w rzeszowskim przedsiębiorstwie „Las”. I prawdą jest, że wzbraniałiśmy się przed tą działalnością. Początkowo były straty i kłopoty z ludźmi. Atrakcyjność zarobku (kilkanaście tysięcy miesięcznie!) — ściągała nawet magistrów ekonomii (którzy skrzętnie wykalkulowali opłacalność!), studentów na urlopach dziekańskich i wielu innych.

Po trzech latach. Produkcja rentowna, pożyteczna dla kraju — jako akcja antyimportowa. Myśli się o inwestycjach — niezależnie od ruchomych mielerzy

— budowane będą w wielu punktach Bieszczadów (m. in. w Moczarnem) stałe komory piecowe. Robotnikom zapewnia się powoli elementarne warunki egzystencji w barakowozach, mówi się o dodatkach typu „mleko” i innych — rzecz jest z przyszłością.

A co do worków to chyba rzeczywiście przez czyjś niedopatrzenie chwilowo zabrakło...

SZYBKOŚĆ PRZEOBRAZEŃ

To była niezwykła podróż. Dwa dni na kolejce — to okazja do poznania przeszłości, spostrzeżenia wielu przemian, spojrzenia w przyszłość.

Podobnymi wrażeniami w luźnej i towarzyskiej rozmowie dzieliła się grupka studentów z Warszawy i Poznania, od lat razem wyruszająca na krajoznawczą wagałundę. Jeszcze ten zabawny pociąg — istny Texas — jak zwykli mówić.

Nie dziwnego, że Cisna jest obecnie w tym rejonie dużym ośrodkiem krzyżujących się szlaków turystycznych; przez nią mknie obwodnica bieszczadzka, tu jest też początek dla ruchu pasażerskiego zielonej kolejki. Rocznie ponad 20 tysięcy entuzjastów na przejażdżkę z szybkością 15 km/godz...

Wyczekując na planowy odjazd, znajdzie się jeszcze okazja do refleksji.

Ogromne tempo rozwoju. Dynamika. Nowe osiedla, ludzie, ich praca, przemysł, turystyka. Ta ostatnia, to długoletnie utrapienie. Narzekają turyści na gastronomię, narzekają mieszkańcy na turystów. Powiedziała gospodyni z Cisnej: „W tych warunkach turyści — to stonka”. Nie przeciw nim nie mamy, ale niech pani przyjrzy się, co tu się dzieje...

Rzeczywiście. Jeden spożywczy sklep GS-u czynny od 7—10 i od 16—20. W południe, gdy ze szlaków schodzą wędrowcy, gdy gospodyni zabraknie mąki i soli do obiadu — zamknięty na cztery spusty. Potem turyści i mieszkańcy stoja (bez przesady!) po dwie—trzy godziny w kolejce. Zaopatrzenie: konserwy i kiełbasa po cenach delikatesowych, chleb (z Baligrodu) jakby pieczony na słońcu — ukroisz, ciągnie się za nożem ciasto! Jedna restauracja, nie można powiedzieć, aby było tu czysto, obsługa opieśzała.

Można się jeszcze dziwić? Narzekania przyjezdnych, narzekania tubylców.

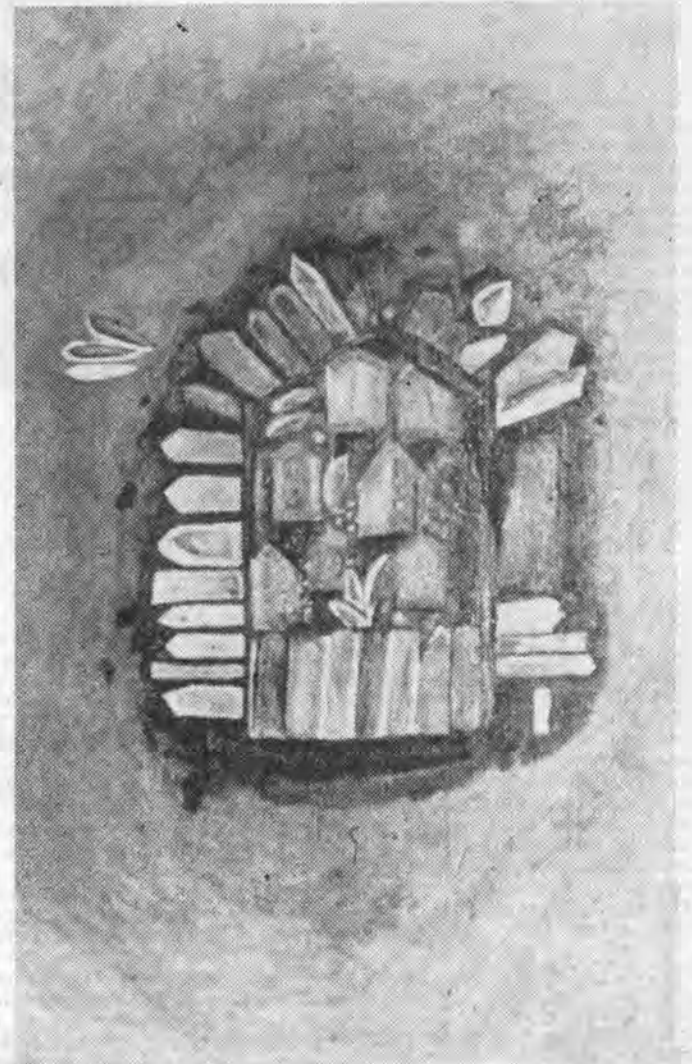
Zaiste, stać nas na tytańskie wysiłki; budować wielką przyszłość z zawrotną prędkością — a w drobiazgach jesteśmy od lat bezradni i powolni. Jak długo jeszcze gastronomia będzie bieszczadzkiem postrachem?...

JUSTYNA WOŚ

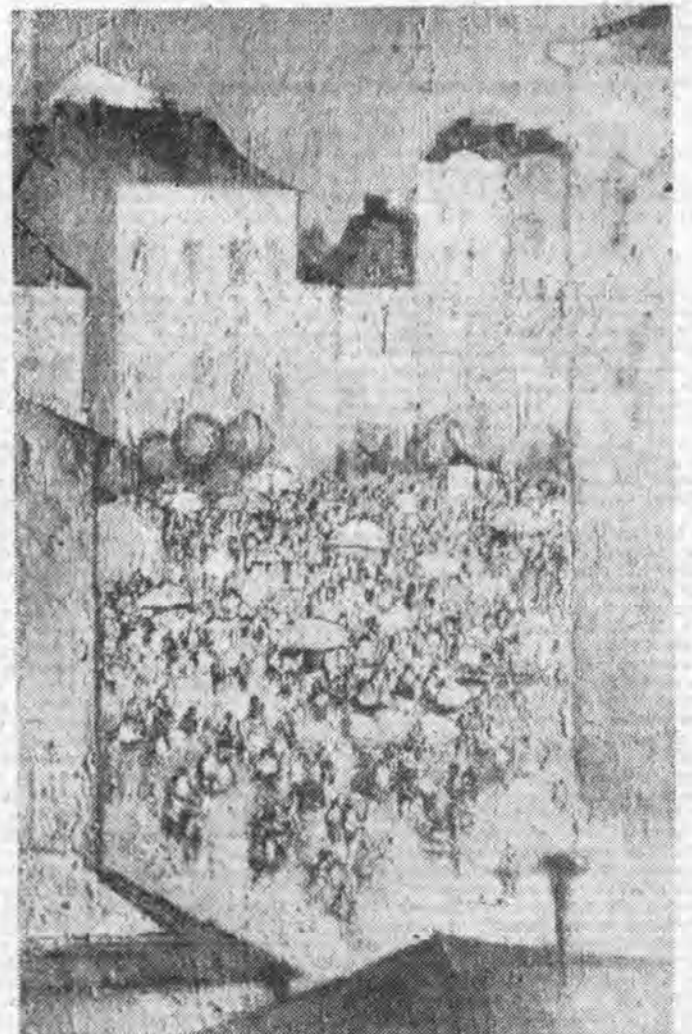
Najlepsze obrazy kwartału

W dniu 7 lipca br. rozstrzygnięty został konkurs na „Obraz kwartału”. Z nadesłanych ogółem siedmiu prac jury pod przewodnictwem art. plastyka Jadwigi Dzieździelewicz przyznało dwie równorzędne nagrody. Otrzymali je Stanisław Kucia za obraz pt „Pasieka”, godło „Bar” i Marian Ziemiński za obraz „Jarmark”, godło „Dymnik”.

(am)



STANISŁAW KUCIA — „Pasieka” — olej.



MARIAN ZIEMIŃSKI „Jarmark” — olej.

Fot. M. RAJS

pod znakiem zadytania. W okresie pobytu Pisulińskiego w Mozambiku, istniała ostra rywalizacja między Niemcami i Anglią, które o mało nie rozdrapały Portugalii tej kolonii. Portugalczycy rządzą w Mozambiku od czasów Vasco da Gamy, czyli od XVI wieku, mimo to władztwo nad tymi ziemiami przynosiło im tyle kłopotów, że wkrótce po wyjeździe Pisulińskiego; tj. na przełomie XIX i XX wieku chcieli sprzedać Anglikom kolonię za 3 miliardy funtów, ale synowie Albionu jakoś nie okazali entuzjazmu dla tej transakcji, mimo że interesowali się deltą Zambezi ze względów strategicznych, ponieważ stanowiła ona osłonę angielskiego panowania w Indiach.

Mozambik stanowił wymarzony kraj dla myśliwych. Pisuliński wie dział, gdzie wybrać się na polowanie. Jeszcze dzisiaj aż roi się tam od zwierzyny, a w opuszczonych chałkach murzyńskich zamieszkuje ływy. 80 lat temu polski myśliwy odczołkował się na wyprawę. Wynajął piaszko zbudowaną, długą łódź z małym słoniowym dionkiem, 6 wiosłarzy wraz ze sternikiem i pilotem oraz dwóch służących. Mieli oni przewieźć rzecz do Katungi — najdalej splawnego miejsca na Szirze. Pisuliński zamierzał bowiem dotrzeć do górnej Sziry, na południowy brzeg jeziora Niassa. Na koniec, gdy już wszystko było gotowe, pożegnał przyjaciół i ubrał buty. Bo Sell przez cały czas edukacji myśliwskiej wbił mu do głowy, że dla myśliwego w Afryce najważniej-

szsze są dobre buty. Inaczej nie zrobi ani kroku. Na pierwszej lepszej ścieżce ukąsi go jadowny gad, pokłuje ostrą trawą — a wtedy łatwa gangrena i żęgnaj piękny świecie! Można wtedy polować co najwyżej w Krainie Wiecznych Łowów.

Charakterystyczną cechą krajoobrazu Afryki Środkowej są wysokie trawy. Można w nich pogrążyć z kretelem. Wśród traw widać wąskie ścieżki dostrzegalne tylko dla czarnych przewodników. W lecie trawy się podpala i dopiero wtedy przed oczami białego człowieka otwiera się ogromny afrykański step — niewyczerpane źródło łowów.

Podczas podróży po Szirze, Pisuliński spotkał łowców hipopotamów i obserwował ich pracę. Wypływali oni na rzekę wówczas, gdy poziom wody opadał. Dwuosobowymi łodziami otaczali ofiarę, zarzucając ją harpunami osadzonymi na bambusowych tykach. Nieraz ranny hipopotam gruchotał łodzie i dopadłszy łowców, miażdżył ich w potężnych szczękach. Pisuliński nie oglądał wszakże takiego przypadku. Widział natomiast rannego hipopotama, który trafiony harpunami, utracił dużo krwi i nie mógł się już zanurzać. Wtedy łowcy podплыли do niego i dobili go dźwidami. Hipopotamy są obiektem myśliwych ze względu na mięso i proste kły dolnej szczęki, które cieszą się dużym popytem.

Pierwsza wyprawa Pisulińskiego na słonię zakończyła się fiaskiem. Myśliwy upolował naprawdę mnóstwo zwierzyny, ale sam też o ma-

ło co nie stał się łupem myśliwych, ponieważ wpadł do pułapki na hipopotamy i ledwie go stamtąd wydobył po paru godzinach czekania. Słoniu ujrzał tylko z daleka. Zaczynała się jesień. Na lewym brzegu Sziry znajduje się łańcuch górski i jesienią oraz w zimie bywają tam dni chłodne i wilgotne, toteż Pisuliński mógł ujrzeć niespotykane w Afryce novum: kominny na dachach białych osadników.

Myśliwy wrócił przeto do Blantyre, misji szkockiej, gdzie wypoczywał, leczyl dolegliwości nabyte w wyprawie, czytał książki i pisał listy. Pisanie sprawiło mu trudność ze względu na ciągłe pocenie się ręki i opędzanie od much, które z wielką sumiennością kontrolowały piszącego i robiły mu poprawki na liście.

Wkrótce Pisuliński podjął drugą wyprawę do Kraju Makokolów. Istniał tam zwyczaj, że myśliwy zabijwszy słoniu musiał jeden kiel dolny oddać kacykowi. Biali nie oddawali kłów, ale mieli obowiązek pokazać go kacykowi i zapłacić.

(Ciąg dalszy na str. 6)

Jan Grygiel

List z kurortu

Wody działają usypiająco?

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Piszę ten list z Iwonicza, gdzie mnie znów w tym roku urlopowe losy rzuciły — z oporami i obawami. Nie znaczy to, że źle mi się tu dzieje, że tego staro-wieckiego uzdrowiska nie lubię. Jest tu pięknie, zacisznie i przytulnie jak zawsze. Ale byłem tu o tej samej porze dwa lata temu i rok temu, wysyłałem, jak grzeczność każę, stąd do Pana listy i boję się, bym nie powtórzył tych samych zwrotów, określeń, sformułowań co w poprzednich listach. Nic, albo prawie nic się tu nie zmienia. Ta sama atmosfera, te same objawy pewnego zaniedbania, ta sama bierność, brak rozmachu i inicjatywy u władz osiedlowych i dyrekcji uzdrowiska. Rzadko w naszych czasach można spotkać miejscowość, w której uzyskuje się złudzenie, że czas zatrzymał się w swoim biegu; niedobrze, że do takich miejscowości trzeba zaliczyć jedno z najpiękniejszych w kraju uzdrowisk. Pisałem w roku ubiegłym, że z usługami tu niedobrze, że czystością i schludnością Iwonicz nie grzeszy, że ta perła I-karpacia zbyt zmatowiała i zszarzała. Nie mogę nieestetycznie i teraz nie innego napisać. Jeszcze trudniej zjeść tu obecnie np. obiad, jak w zeszłym roku. Okazało się, że w samym środku sezonu remontuje się dawna restauracja przy ul. Zdrojowej, z której „Gromada” w ubiegłym roku korzystała, jako że stołówki dla swych czasowiczów. Trzeba było więc przemieścić tę stołówkę do jedynej już teraz, niedużej restauracji w Iwoniczu, niedawno otwartej „Gloriety”. Nieczynny jest w dalszym ciągu leśny pawilon gastronomiczny naprzeciwko restauracji. Otwarto wprawdzie w nowym budynku kombinatu handlowego przy ul. Zdrojowej dość obskurny bar samoobsługowy, ale niewiele to pomogło. Mnóstwo ludzi, zwłaszcza w soboty i niedziele, gdy przyjeżdża do Iwonicza na „szaleństwo” pół Krosna i spora część Rzeszowa, wystaje w halu restauracji i przy bufecie z burzącymi żołąd-



IWONICZ-ZDRÓJ.

Fot. T. HERMANOWICZ

kami, czekając na wolne miejsce przy stoliku. Nie dziwnego, że kuracjusze i czasowicze nazywali „Glorietę” — Golgotą!

Jakżeż tu trudno także zjeść lody lub napić się czegoś w godzinach przedpołudniowych. W całym uzdrowisku tylko jeden kiosk oferuje jakąś wodę. W improwizowanej kawiarence w Technikum Gospodarczym można zjeść tylko lody, ciastka i wypić kawę, żadnych napojów chłodzących tam nie ma (trzeba się tam zresztą wspinać wysoko po schodach — leży ona na uboczu i mało kto o niej wie). W kawiarni „Gloriety” produkcję lodów uruchomiono dopiero pod koniec lipca; z niewiadomych przyczyn zlikwidowano kawiarenkę FWP w Iwoniczance, a kiosk spożywczy koło basenu kąpielowego, który mógłby w upalne dni robić kokosowe interesy stoł zamknięty przez cały sezon na cztery spusty. A trzeba przecież pamiętać, że w sezonie przebywa tu kilka tysięcy ludzi.

A ile się trzeba namęczyć Panie Redaktorze, by nabyć prasę, lub w ogóle skorzystać z usług w kioskach „Ruchu”. W całym

uzdrowisku jest tylko dwa kioski i w dodatku w jednym z nich zlokalizowano jeszcze improwizowaną kasę biletową PKS. Ekspedient obsługuje więc i klientów kiosku i pasażerów PKS — stąd zakreślane ogonki po prasę. Czyż to nie wstyd dla uzdrowiska tej rangi, że dotąd nie ma przypożyczonej poczekalni i kasy biletowej dla komunikacji autobusowej, tym bardziej że Iwonicz ma bezpośrednie połączenie z Warszawą, Katowicami, Krakowem i Rzeszowem?

W dalszym ciągu uzdrowisko nie grzeszy czystością i schludnością. Gdy kiedyś Pan tu będzie nie radzę zaglądać do ustępów publicznych koło muzeum koncertowej. Wycofa się Pan stamtąd ze wstrętem. Strumień płynący przez centrum Iwonicza wydaje zapachy zmuszające do ucieczki znad jego brzegów, kryty deptak koło łazienek zdrojowych zaniedbany i zniszczony, aż żal patrzeć. Brak tu wszędzie tego co nazwać by można „wysokim polskim”, troską o najwyższy standard, nawet w nieistotnych wydawałoby się szczegółach. Może dlatego tak często słyszy się w rozmowach na deptaku, czy w pijalni wód utyskiwania „podciociałych” kuracjuszek z Warszawy, Małborga, Torunia czy Katowic w rodzaju:

Myśliwy z Mozambiku

(Ciąg dalszy ze str. 5)

dował lew. Padłynie otaczali tubylcy z łukami i dzidami. Ale bał się podejść, bo lew sływał w okolicy, jako groźny ludożerca. Pisuliński zastrzelił lwa. Była to stara, wychudła samica, z zębami do połowy już startymi. Murzyni przyjęli z entuzjazmem wyczyn myśliwego i zaprosili go do swej wioski, gdzie odbyły się huczne tańce na cześć zwycięstwa nad znanawidzonym królem zwierząt.

Pisuliński przez 10 lat przebywał w Afryce i zdobył mnóstwo trofeów myśliwskich. Ale oprócz pasji tropienia zwierząt odkrył w sobie drugą pasję — pasję naukową. Z każdej podróży robił mnóstwo rysunków, zwłaszcza głowy zwierząt. Owa pierwsza wyprawa, wedle Pisulińskiego nieudana, ponieważ nie zastrzelił ani jednego słonia — stanowiła osiągnięcie dużej miary. Już sam fakt sforsowania przestrzeni 500-kilometrowej, gdzie biały człowiek był nader rzadko, był wyczynem dużej miary. Pisuliński nie przywiózł wówczas kłów słonia — przywiózł wszakże mnóstwo materiału etnograficznego w postaci eksponatów zakupionych od Murzynów oraz szereg okazów przyrodniczych. Zebrał też wiele legend, bajek i pieśni w narzeczu czikunda. Pisuliński spenetrował okolice, których z wyjątkiem dr Livingstonie nikt nie obdarzył żywym zainteresowaniem. Wniósł duży wkład wiedzy o tamtych terenach. Poznał tajemnice stepu afrykańskiego i pokochał go, mimo jego dzikości i czubających tam niebezpieczeństw.

„Ale na to trzeba być myśliwym — pisał później — a może trochę poetą, aby z grozy otoczenia, z pustkowią śmiercią wiejącego wykrzesać w pewnych chwilach w swej wyobraźni czarowne obrazy, które upajają i pozostają na zawsze drogą i niezapomnianą.”

Po powrocie do Polski Pisuliński zajął się pracą naukową i literacką. W 1927 r. wydał książkę pt. „Szlakiem słoniu afrykańskiego”. Słoń fascynował go do końca życia. Był to temat, do którego obsesyjnie powracał. Dzięki temu wiemy o słoniu wiele ciekawych szczegółów. Otóż Pisuliński pierwszy odkrył, że odkał zaczęto polować na słonia z broni palnej, zmieniły one tryb życia. Słoń zaczął sypiać na stojąco, co najwyżej oparły czołem o skałę lub pień drzewa, ale trąba zawsze była na straż i czujnie łowiła podmuchy wiatru. Poza tym Pisuliński zaobserwował, że słonie ciągle wędrują, są urodzonymi podróżnikami. Myśliwy twierdzi, że słoń jest najinteligentniejszym zwierzęciem — „połężnym, cichym i potulnym medrcem.”

W latach 1927—1936 Pisuliński współpracował z pismem „Lowiec”, w którym zamieszczał w odcinkach „Obrazki z życia egzotycznych zwierząt”. Po wojnie w 1945 roku osiedlił się — mając już wtedy 85 lat w Rzeszowie. Mimo podeszłego wieku pracował nad książką pt. „Druga wyprawa nad górą Szirę”. Niestety, nie została ona dokończona. Antoni Pisuliński zmarł w Rzeszowie, mając 90 lat.

RYSZARD DZIESZYŃSKI



Alan Sillitoe: ŚMIERĆ WILLIAMA POSTERSA. Tłum. J. Milnikiel. Kłw, s. 394, cena 27 zł.

Znany już w Polsce cztery książki tego współczesnego angielskiego pisarza. Najbardziej chyba „Samotność długodystansowca”. Tym razem prezentuje nam autor pierwszą część trylogii, w której zamierza ukazać panoramę współczesnej Anglii. Historia młodego robotnika, który pozostawia pracę, żonę i dzieci i rusza w świat. Szerzej przygód.

Goffredo Parise: PRYNCYPAL. Tłum. A. Konicki. PIW, s. 240, cena 20 zł.

Włoski pisarz średniego pokolenia jest również autorem wielu scenariuszy filmowych. Za „Pryncypala” otrzymał nagrodę Viareggio (1965 rok). Przejścia młodego przybysza z prowincji podane w sposób parodystyczny i groteskowy. W serii „Współczesna proza światowa”.

João Guimarães Rosa: SOROPITA — BURITL. Przeł. H. Czajka. PIW, s. 232, cena 25 zł.

W tej samej serii dwa utwory wybitnego pisarza brazylijskiego, zmarłego w 1967 roku. Obydwa opowiadania pochodzą z cyklu „Corpo de Bala”, który przyniósł autorowi światową sławę. Rosa był lekarzem, przeżył wiele lat na rozległym płaskowyżu w stanach Bahia, Ceara i Minas Gerais. O ludziach tam zamieszkałych, na tle przyrody.

Julius Mader, Gerhard Stuchlik, Horst Pehner: DR SORGE NADAJE

Moja Pani, to ma być pijalnia — taka budka i tylko dwa źródła czynne, nawet „Józefa” nie ma, a na tablicy orientacyjnej reklamuje się ze siedem. A ile tu pokrzyw i łopianów dwa kroki od deptaku. Ustępę Panu już widzieli? — skandal! — To mają być bicze wodne? Pan! — w Ciechocinku po biczach wodnych miałam siniaki na całym ciele... A i borowina nie ta już co przed wojną... I chociaż kurortowe ciotki zwykle wszystko wszystkim mają za złe, trzeba przyznać, że niestety nie brak im w Iwoniczu pożytki do narzekania.

Nie korzystałem w Iwoniczu z kuracji i dlatego nie będę się wypowiadał na temat poziomu usług leczniczych, opieki lekarskiej i standardu sanatoriów zdrojowych. Widać nie są najgorsze skoro tylu ludzi przybywa tu co roku z całej Polski. Korzystałem z wczasów „Gromady” i muszę Panu powiedzieć, że „Gromada” dobrze żywi swoich wczasowiczów i troszczy się dla nich o mądrze zorganizowany, aktywny wypoczynek. Pani Teresa Mrówka, kierowniczka naszego turnusu istotnie krzątała się jak mrówka, by zorganizować interesujące wycieczki, zapatrywać wczasowiczów w bilety do kina, urządzać imprezy towarzyskie itp. Jeśli ktoś lubi wypoczywać w ten sposób mógł być w pełni zadowolony. Ja o sobiście, jak Pan wie Redaktorze, mam wymagania znacznie skromniejsze. Wystarczą mi włości z grzybami po uroczych okolicznych wzgórzach i basen kąpielowy. Nie interesują mnie wieczorki zapoznawcze i towarzyskie, gdyż przecież na deptaku spotykam codziennie więcej naszych wspólnych znajomych niż na rzeszowskiej ulicy. Nie pociąga mnie również zbyt kręcone calymi godzinami po iwoniczkiej promenadzie, mimo iż wielu starych kurortowych bywalców cały urlop tym spacerem poświęca. Dostojnie kroczą w morderczym upale, ubrani w garnitury, krawaty, z orderami w kłapach, wymieniając liczne ukłony i uśmiechy. Tylko lasceczek ze srebrnymi galkami, kwiatów w butonierce i słomkowych kapeluszy brakuje by przenieść nas zupełnie w klimat „Klubu kawalerów” Bałuckiego. Zdarzają się wprawdzie także barbarzyńcy gwałcący miłe XIX-wieczne tradycje kurortu, którzy udają się w kusych kąpielówkach na codzienny popołudniowy koncert na placu zdrojowym, co trzeba przyznać nie jest objawem kultury i dobrego smaku. Nawet Pan redaktorze przy swojej tolerancji uznajże to za naruszenie zasad przyzwoitości.

Wspomniałem na początku listu o tzw. „szaleństwie” iwoniczkim. Polega ono na nieludzkim tłoczeniu się w takt dość amatorskich orkiestr, panów z bardzo wysokimi czołami i pań w wieku balzakowskim w „Krakowiaku” i w „Gloriecie” od wczesnych godzin popołudniowych. Szczytem szaleństwa w „Gloriecie” jest tzw. przez orkiestrę „kozaczok”, który absolutnie nie wspólnego nie ma z tańcem kozackim i „góralskim”, który w istocie jest śląskim trojakiem. Chodzi w tych tańcach o to, by wytrząsnąć z publiczności na parkiecie resztki energii i potu... Szczytem pikanterii zaś w owym dancinowym szaleństwie jest piosenka refrenisty o tym, jak to szukał u swojej dziewczyny mrówek wszędzie, i co z tego wynikało. Jeśli Pan jednak sądzi redaktorze, że dancin-gi istotnie pozbawiają nadmiaru żywotności i frywolności swoich miłośników, to się Pan bardzo myli. Biada wczasowiczom i kuracjom mieszczącym przy ul. Zdrojowej. Dzikie pienia i ła-cińskie dialogi rozbawionych „kozaczoków” nie pozwalają im zasnąć prawie do świtu. Tylko miejscowa milicja śpi głębokim snem sprawiedliwego i nikomu nocej zabawy na ulicy nie zakłóca.

Uff! Ulżyło mi Panie Redaktorze, więc już spokojnie donoszę, że jednak chyba przyjadę tu i w roku przyszłym. Bardzo lubię Iwonicz, działa na mnie jego niepowtarzalny urok i przepiękne okolice. Może się doczekam, że kurort obudzi się z bierności, z drzemki, że gospodarze osiedla wykażą więcej energii, ambicji i przedsiębiorczości. Wiadomo powszechnie, że uzdrowisko ma przed sobą piękną przyszłość, że zacznie się wkrótce realizować wielki plan jego rozwoju. Ale czy koniecznie trzeba z założonymi rękami czekać na to co inwestycyjna dobra wróżka przyniesie z zewnątrz? Za pomyślność Iwonicza przebijam do Redaktora bulgocącym kubkiem wody „Elin”.

JAN GRYGIEL

P.S. Aby być sprawiedliwym odnotowuję nowe obiekty i placówki, które powstały od ubiegłego roku w Iwoniczu. Sanatorium „Rzepicha” otwarte w lipcu br., kilka sklepów, kiosk Cepelii z pamiątkami. W budowie duże sanatorium na Winiarskiej Górze (stan surowy), drugie obok (fundamenty), blok mieszkalny i budynek Technikum Gospodarczego (stan surowy) i nowe szpitalne publiczne koło poczty przypominające średniowieczne zamczysko.

Z TOKIO. Przeł. Wł. Gorkowski. MON, s. 468, cena 42 zł.

Znana choćby ze znakomitej sensacyjnej książki o Kongu Muellerze spółka autorów niemieckich zajęła się tym razem literackim opracowaniem ciekawych dokumentów politycznych z okresu II wojny światowej, poświęconych życiu i działalności asa radzieckiego wywiadu Ryszarda Sorge.

Lech Niekrasz: PÓLMISKIEM PRZEZ ATLANTYK. Iskry, s. 288, cena 20 zł. W serii „Naokoło świata”.

Dziennikarz z Wybrzeża odbył ponad trzymiesięczny rejs na statku — przelotem. Co widział i słyszał — opisał. Życie codzienne rybaków, stosunki międzyludzkie. A tytuł? Po prostu stąd, że autor pełnił w czasie podróży funkcję stewarda. Przeczytać warto.

Stefania Grodzka i Jerzy Jurandot: BALLADA O TAMTYCH DNACH. Iskry, s. 152, cena 14 zł.

Ten tekst sztuki, komedii rozgrywanej się w Lublinie między wrześniem 1944 a styczniem 1945 oraz w Warszawie w trzeciej dekadzie stycznia 1945 roku w środowisku dziennikarzy radiowych i pracownikó PKWN oraz żołnierzy i partyzantów uzupełniają teksty i nuty piosenek Jurandota i Wasowskiego oraz uwagi inscenizacyjne Kazimierza Brauna. Trochę wprawdzie mustarda po obiedzie, ale zabawa do czytania to jest.

Ludwik Jerzy Kern: KERNALIA. Iskry, s. 256, cena 30 zł.

W „Bibliotece Stańczyka” cały tom dowcipnych wierszy satyrycznych pióra autora znanego nie tylko z ostatniej strony „Przekroju”.

Lesław M. Bartelski: GENEALOGIA OCALONYCH. Wyd. II. Wyd. Literackie, s. 340, cena 35 zł.

Te szkice o latach 1939—1944, to monografia literatury czasów okupacji. To klimat i nurt życia duchowego. Spotykamy więc na łamach książki postacie Balczyńskiego, Borowskiego, Gajcego i innych.

Borys Polewoj: OPowieść O PRAWDZIwym CZŁOWIEKU. Tłum. J. Wyszomirski. Iskry, s. 320, cena 9 zł.

Już dziewięć i to w stu tysięcznym nakładzie wydanie ciekawej powieści o radzieckim lotniku, który zestrzelony przez Niemców dotarł do swoich i mimo amputacji obu nóg wrócił do latania.

Jerzy Wittlin: VADEMECUM SZEFA. Wyd. II. Wyd. Literackie, s. 236, cena 25 zł.

Na „skrzydełku” przeczytać można: „Jeśli jeszcze nie zdecydowałeś się, czy zostać szefem — niniejsze „Vademecum” cię ośmieli, jeśli już postanowiłeś zostać szefem — niniejsze „Vademecum” cię nauczy, jeśli jesteś już szefem — niniejsze „Vademecum” ci pomoże, a w ogóle wiele cennych rad, np. jak obejmować stanowisko, jak się nadymać, jak nie zajmować stanowiska, jak spławić interesantów, jak sprawić radość kontroli. Nie więc dziwnego, że pierwsze wydanie zniknęło błyskawicznie z półki.

Craig Rice: RÓŻE PANI CHERINGTON. Tłum. M. Skibniewska.

Wzniesienie w serii „Srebrnego kluczyka” napisanej z humorem powieści kryminalnej znanej pisarki amerykańskiej. Dzieci autorki powieści detyktywistycznych wykrywają sprawę śbrodnie popełnionej w biały dzień w sąsiedztwie.

Henryk Sienkiewicz: POTOP, T. 1—4. PIW, cena całości 40 zł.

W stu tysięcznym nakładzie w kieszonkowej bibliotece Kolibra znana powieść o Andrzejku Kmicicu, Oleńce i Bohunie. Lektura szkolna. Brac, bo na pewno brakuje.

Kazimierz Demel: ŻYCIE MORZA: Wyd. Morskie, s. 460, cena 75 zł.

Autorem jest jeden z najstarszych i najbardziej zasłużonych polskich biologów morza, jest to już trzecie wydanie, poszerzone i uzupełnione wg aktualnego stanu wiedzy. Morze jako środowisko życia. Ciekawy materiał ilustracyjny. Album.

Słowacja (Slovensko) — wschodnia część federacyjnej republiki Czechosłowacji należy do tych rejonów tego kraju, z którymi kontakty naszej Rzeszowszczyzny są stosunkowo dość żywe, szczególnie jeśli idzie o okręgi przygraniczne: koszycki i preszowski. Nic więc dziwnego, że te wzajemne stosunki na płaszczyźnie polityczno-społecznej, kulturalnej czy sportowej, nie mówiąc już o dość aktywnym ruchu turystycznym, są doskonałą okazją do poznania osiągnięć i walorów turystycznych obu sąsiadujących ze sobą regionów, czego typowym przykładem może być np. rodzina Knotków z Gbely, o której pisać chcę w niniejszym artykule. Moi słowaccy przyjaciele nie mieszkają wprawdzie w okęgach graniczących z Rzeszowszczyzną, ale kontakty ich z naszym regionem są bardzo żywe.

Spotkanie na cesarskim zamku w Schonbrunn

Rodzinę Knotków poznałem zupełnie przypadkowo w Wiedniu, w 1964 roku. Wracając z Francji poprzez Szwajcarię, jeden dzień zatrzymałem się przymusowo w stolicy Austrii. Otóż pociąg pędzący z Zurichu przyjeżdża na West-Bahnhof w Wiedniu dość wcześnie rano, najbliższy zaś pociąg w kierunku Polski — expres „Chopin” odjeżdża późno wieczorem, miałem więc dostateczną ilość czasu, aby przynajmniej pobieżnie poznać to jedno z najpiękniejszych miast Europy z jego licznymi zabytkami architektury, jak katedra św. Stefana, uniwersytet z 1365 r., zabytkowy ratusz, słynna opera, zamek cesarski, czy też wspaniałe parki: Prater i Schonbrunn. Oczywiście swoje wiedeńskie wędrowki rozpocząłem od wyjazdu poza miasto na Wzgórza Kalenberg, pod którym w 1683 roku król Polski Jan III Sobieski odniósł historyczne zwycięstwo nad wojskami tureckimi wysobadzając obleganą przez Turków stolicę cesarską Habsburgów.

Swoją przechadzkę po Wiedniu i jego zabytkach kończyłem w przedlicznym parku Schonbrunn do złudzenia przypominający mi znakomite dzieło Le Notre'a — park wersalski. Robiło się już coraz bardziej ciemno. Wiedeń rozbiła całą gamą różnokolorowych świateł. Kierowałem się już właśnie do wyjścia, gdy w tym momencie zauważyłem obok bramy inwalidzki wózek, na którym siedział stosunkowo młody jeszcze, bo nie mający 30 lat mężczyzna. Stojąca obok niego kobieta oraz 8-letnia dziewczynka (żona i córka) usiłowały przesadzić chorego z wózka do stojącego nieopodal samochodu. Ofiarowana przeze mnie pomoc została życzliwie i z wdzięcznością przyjęta. Okazało się, że ci przypadkowo spotkani ludzie są Słowakami, dość dobrze znają Rzeszów, Łańcut oraz prawie cały

region rzeszowski. I tak rozpoczęła się moja znajomość z rodziną Michała Knotka z Słowacji.

Z wizytą w Gbely

Gbely, duża i ładna słowacka wioska leżąca niedaleko słynnego uzdrowiska w Piszczanach, znanego z gorących źródeł siarczanych i borowinowych, to rodzina miejscowości Knotków. Byłem niezmiernie, ale zarazem mile zaskoczony, gdy za te drobniagową przysługę z Wiednia zostałem wraz z żoną zaproszony z wizytą do Słowacji. Pobyt w Gbely pozwolił mi poznać bliżej tragedię tej ogromnie sympatycznej rodziny. Rozpoczęła się ona jeszcze w

Emilian Bliźniak

Resoviana

u przyjaciół w Słowacji

czasie odbywania służby wojskowej mojego przyjaciela. Złamanie kręgosłupa w czasie ćwiczeń gimnastycznych doprowadziły mimo intensywnego leczenia prawie do całkowitego paraliżu rąk i nóg, przykuwając na zawsze do inwalidzkiego wózka tego świetnie zapowiadającego się sportowca. Michał był już wtedy żonaty, urodziła im się właśnie co dopiero córeczka Marysia. Jakaż ogromna radość pomieszana z bólem. Radość z urodzenia córki, bolesć serca z powodu tego, iż nie mógł swojego dziecka wziąć na ręce. „Pragnąłbym bardzo żyć i chociaż częściowo wrócić do zdrowia” — mówił do mnie w czasie naszej przyjacielskiej rozmowy — „Pragnę dożyć tej chwili, abym mógł pogłaskać ręką głowę mojego dziecka”. Marzenia Michała spełniły się. Bezgraniczne poświęcenie żony Anity, leczenie i uporczywe oraz systematyczne wykonywanie przepisanych przez lekarza ćwiczeń doprowadziły do tego, że Michał doskonale pisze piórem i na maszynie, będąc na rencie wykonuje częściowo prace chałupnicze (wyszywa) oraz przede wszystkim dużo czyta. Może już sam trzymać książkę i odwracać kartki. Czytanie sprawia mu dużo satysfakcji i zadowolenia,

pozwała mu zapominać o swoim kalectwie, wprowadza w świat ludzi zdrowych, z którymi może dyskutować na różne tematy. Ogromnie się ucieszyłem, gdy w bibliotece Michała znalazłem książki i foldery dotyczące Rzeszowszczyzny, m. in. Rzeszowa, i Łańcuta, plan m. Rzeszowa, mapkę turystyczną woj. rzeszowskiego i Bieszczadów, mnóstwo fotografii i widokówek oraz egzemplarze „Nowin Rzeszowskich” przywiezione z wojaży turystycznych po Rzeszowszczyźnie.

Słowackie wędrowki

Turystyka to druga obok czytania pasja Michała. W każdym roku państwo Knotkowie przemierzają samochodem turystyczne szlaki krajowe lub zagraniczne. W czasie naszego pobytu w Słowacji nie tylko towarzyszyli nam jako gościom, ale również służyli fachową informacją turystyczną. Lekcję historii o Słowacji rozpoczęliśmy od zwiedzenia stolicy tego kraju — Bratysławy, centrum politycznego, gospodarczego i kulturalnego Słowacji. Michał na wstępie zaraz wyjaśnił, że Bratysława po słowacku Bratislava, w czasie przynależności do Austro-Węgier, przez Austriaków nazywana była Pressburgiem, przez Węgrów Pozsony, i np. zawarty pomiędzy Austrią i Francją pokój w Bratysławie w 1865 r. znany jest w źródłach historycznych jako tzw. „pokój pressburski”. To piękne, leżące nad Dunajem miasto posiada wiele ciekawych zabytkowych budowli, m. in. katedrę z XIII i zamek z IX wieku, który swoim położeniem góruje nad całym miastem. Dyrektor miejscowego muzeum, który bawił niedawno w Polsce (Kraków, Rzeszów, Łańcut, Przemysł), pokazał mi rękopis tekstu słowackiej pieśni patriotycznej z 1831 roku, napisanej na wzór „Mazurka Dąbrowskiego” i śpiewanej na tę samą melodię przez Słowaków. Świadczyło to o odgłosach polskich ruchów narodowo-wyzwoleńczych (powstania listopadowego) wśród ludności słowackiej.

Nitra — to drugie z ciekawszych miast zabytkowych Słowacji. Ten jeden z ośrodków państwa wielkomorawskiego w IX wieku, posiada przepiękną katedrę, zamek i klasztor z XI wieku. Miasto Breclaw na Morawach oraz wspaniały gotycki zamek w Sednicy, dawna własność księcia Liechtensteina stanowiły ostatni etap naszych turystycznych wędrowek przed powrotem do kraju.

Rewizyta w Rzeszowie

W tym samym roku Michał i Anita Knotkowie wraz z córką i siostrą złożyli nam rewizytę w Rzeszowie. Michał mógł poznać jeszcze lepiej piękno naszego regionu rzeszowskiego. Zaś biblioteka Michała wzbogaciła się o nowe, zakupione w miejscowym muzeum „Resoviana”. Wizyta słowackich przyjaciół sprawiła mi podwójną radość. Po pierwsze mogłem się zrewanżować za pobyt w Słowacji, po drugie utwierdziła mnie ona w przyjemnym przekonaniu, że w dalekim Gbely uczą się języka polskiego i Rzeszówczyńnię.

ANEGDOTY

HASŁO

Z „Encyklopedii mężczyzny”
Anny Marli Carliere:
— „Kogut: stworzenie, któremu natura dała najgorsze cechy męskie — pychę, skłonność do poligamii, prymitywny erotyzm i ten fatalny zwyczaj powiadamiania całego otoczenia, które mogłoby jeszcze z przyjemnością pospać, że on już się obudził...”

POWÓD

Król Aleksander Jagiellończyk, polując w lasach litewskich poznał leśniczego, który miał 120 lat, a był silny i krzepki, podczas gdy 30-letni władca był słabego zdrowia.
— Czy chorowałeś kiedyś — spytał go król.
— Nigdy, N. Panie — odrzekł starzec. — Nie bawiła u mnie choroba, bo wygodny by nie miał...

Kartki dla Ewy
Hazard

Namiętności dręczą ludzi od wieków. Hazard (od arabskiego — azzahr: kostka, gra w kości) dawał szkołę już starożytnym, ale jego początki giną w mgłę niepamięci, sięgają zapewne prehistorii. Nasi pra - przodkowie nie znali wprawdzie „pokera” ni „oczek”, ale mieli z pewnością, jakieś swoje gry, w których stawką była upolowana zwierzyna, lub krzemienisty toporek.

Bujny rozwój hazardu rozpoczyna się wraz z wynalazkiem kart do gry. Pochodzenie ich nie jest ustalone dokładnie, choć wiadomo, że rozpowszechniły się najpierw w Chinach i Japonii — znano je tam w formie ozdobnych tabliczek z drzewa, lub z kości słoniowej. Do Europy przywędrowały za pośrednictwem Saracenów. Rozwój drzeworytnictwa i miedziorytnictwa spopularyzował ten epokowy wynalazek, mówią więc karty o rozwoju typografii, mają duże znaczenie ikonograficzne — zapewniły sobie miejsce w historii sztuki. Najistotniejszy jednak rozdział to historia ludzkich namiętności — tragicomicznej, ale i tragicznej czasami.

Zabójstwa i samobójstwa na tle karcianego hazardu mogłyby być tematem frapującego dzieła, w którym spory rozdział można by poświęcić bliskiej przeszłości i czasom współczesnym. Wiąże się to z rozwojem szulerni, których rekordową liczbę zanotowano na Alasce — przełom XIX i XX wieku — po odkryciu nad rzeką Klondike pół złota. Przedsiębiorstwa karciane opłacały się znacznie lepiej od prymitywnych kopalni, od poszukiwania złotodajnych złóż. Początki niejednej z największych fortun świata sięgają owych domów gry, najrozmaitszych melin, wreszcie innych mało sławnych przedsiębiorstw.

Cóż — naiwnych nie brakowało nigdy, amatorzy łatwego szczęścia chodzą stadami... i nawet masowy odstrzał „jeleni” nie odstrasza innych przed zapuszczeniem się w las!

W krajach zachodnich do dziś funkcjonują kasyna gry, w których uprawia się rozmaite formy hazardu i niedawno mogliśmy przeczytać notatkę o rozbiciu banku w Monte Carlo. Dokonał tego jakiś Anglik po przeprowadzeniu skomplikowanych obliczeń za pomocą komputera. Nie wykluczone jednak, że jest to swoista reklama kasyna, gdyż zagarnięcie fortuny w domu gry zwabia zawsze tłumy graczy, którzy szybko rekompensują straty. Rozbicie banku ogłasza się zresztą bardzo skwapliwie i powszechnie, znacznie rzadziej natomiast przeciekają wiadomości o samobójstwach zrozpaczonych graczy.

U nas nie ma ruletek, kasyn gry, legalnych szulerni, ale „poker”, „oczek” i „tysiąc” kwitnie, jak kraj długi i szeroki, uprawia go młódz dorastająca, szczególnie spośród tych, którzy dojeżdżają do szkoły. W kolejowych przepisach jest wzmianka zabraniająca gry hazardowej w wagonach kolejowych — nikt się tym jednak nie przejmuje, więc w dniach wyprawy wyruszają na trasy zawodowi „kartograficy”, w poszukiwaniu „jeleni”. Karty mają na podorzędziu, znaczono oczywiście... Bywa ćwiartką poczęstują... i odbijają sobie solidnie koszty, puszczają klienta z pustym portfelem. To są specjalści od grania „na podpuchę” — da taki wygrać 50, 100 złotych... Odbierze sobie 500!!! Szczęście w kartach jest zmienne! „Re - sub - mort: kto nie ma szczęścia w kartach, ma je w miłości”!!!

Są tacy, którzy przegrywają pensje: zaliczki, wyrównania, premie! Znam i takiego, który przegrał pracę licząc na lżejszy zarobek. Bywają wiecni „jelenie”, co na długi karciane wyprzedają z domu ubrania, meble, wyciągną żonę ostatni grosz!

Nieopanowani karciarze, roznamiętnieni zwolennicy „totka” — bywa sięgną czasami do państwowej kiesy, bo wyśniło im się nadszczajne szczęście, magiczne cyfry, na które musi paść główna wygrana. Sen mara! Na jawie spotykają się zwykle z prokuratorem, który nie ma za grosz wyrozumienia dla ich nieszczęścia. Idą później w zacisne miejsce, malują na skrawkach papieru „obrazki” — grają wciąż w tym samym gronie o papierosa, o sprzątnięcie celi, o przytyczka w nos... Namiętności są silniejsze od rozsądku!

BEGA

◆ KORESPONDENCJE ◆ POLEMIKI ◆

SZANOWNNA REDAKCJO!

Zbigniew Wawszczak w interesującym artykule pt. „Musiałem zastąpić im dom rodzinny” (Widnokrąg nr 28) pisze między innymi „Personel nauczycielski zmienia się bardzo często, płynność kadr jest duża. Wynagrodzenie otrzymuje się tu takie same jak w szkole, a praca specyficzna, dodatkowe dyżury, uciążliwe zwłaszcza w niedziele. Przeważnie do domów dziecka trafiają absolwenci studiów nauczycielskich, nie mający dodatkowego przygotowania do pracy z młodzieżą, co tu dużo mówić, raczej trudną”.

Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele. Otóż moim zdaniem niektóre wydziały oświaty nie mają nadal dokładnego rozeznania w sprawach kadrowych, albo prowadzą niewłaściwą politykę oświatową. Znam przypadek (sprzed dwóch lat), że Wydział Oświaty (w naszym województwie) zatrudnił w domu dziecka dwóch absolwentów po liceum ogólnokształcącym, natomiast nasi absolwenci po studium nauczycielskim o kierunku opieka nad dzieckiem poszli do pracy w szkole. Zdarza się również przypadki, że słabsi nauczyciele (już pracujący w szkołach) kierowani są do placówek opieki nad dzieckiem. Niektórzy odpowiadają za domy dziecka uważając, że praca w tych placówkach jest łatwiejsza aniżeli w szkołach. Takie stanowisko jest błędne. Z rozmów, jakie przeprowadziłem z naszymi absolwentami wy-

nika, że niektórzy kierownicy domów dziecka przydzielają im zajęcia i to często w godzinach wieczornych, a to utrudnia im kontakty towarzyskie itp.

W naszym społeczeństwie ranga nauczyciela jest wyższa aniżeli w chowawcy w placówce opieki nad dzieckiem. Taka jest rzeczywistość, choć jednak o to, aby ją zmienić. Wychowawca otrzymuje tylko 42 dni urlopu, nauczyciel zaś ponad 80 dni. Etät wychowawcy w domu dziecka wynosi 36 godz. tygodniowo, a nauczyciela 26 godzin. O ile chodzi o wynagrodzenie wychowawcy, to jest wyższe aniżeli nauczyciela (absolwent studium nauczycielskiego o kierunku opieka nad dzieckiem, po ukończeniu uczelni otrzymuje około 1700 zł). Za wyżywienie uiszczą 1/4 odpłatności. Samotni otrzymują mieszkanie w domu dziecka. Nasze studium nauczycielskie (kierunek opieka nad dzieckiem) ukończyło kilkudziesięciu absolwentów (mam na uwadze studium stacjonarne i zaoczne). O ile się orientuje, większość z nich pracuje w placówkach opieki nad dzieckiem. Szkoda, że nie wszyscy.

Wobec zapotrzebowania wychowawców do pracy w domach dziecka, internatach, świetlicach, niezrozumiały jest fakt likwidacji Wydziału Opieki nad Dzieckiem w Studium Nauczycielskim w Przemyslu.

MGR ADAM RZASA
Przemysł

Marek Klusek Korab (Stalowa Wola)

Debiut

Ziemia

na twarzy mojej ciepło Twoich dłoni
wiążąc wargi pajęczyną gestu
co czujesz
rosa nie płynie świtanie policzka
dzień wczorajszemu nowy kreśli
proszę
bądź Ziemią obojętną i cichą
Ziemią powrotów
obejmij mnie Ziemią
wiosam i rzek obejmij
słowa do ust podniosą
ptaki palców
wtedy Ziemię swoją miłość ci oddam
gwałtowną ciężką
jak wiosenna burza.

*

zbożem jaskrawym brodząca
echem rannym po rosie
żrenicą błękitu
jaką gliną leptono strugi palców
nie czuj wiatru
ale wiem że jesteś w locie pszczoły
wieczornym kos klepaniu
przyjdz deszczem
zapachem mokrych łąk.

OGRODEK NIEPLEWIONY

W naszym ogródku w dalszym ciągu dobrze obradzają rymowane chwasty i roślinki rodem z kosmosu. Okazuje się, że księżycowy lot lipcowy tak uskrzydlił naszych domorostych rymotwórców, iż obecnie coraz częściej wlatują nad poziom szarej rzeczywistości. Po niesamowitym opowiadaniu „Wysza cywilizacja” i wierszu p. Jana Twardowskiego do swojego krewniaka na Księżycu przedstawiamy dziś czytelnikom fragmenty dzieła na temat pewnej przygody w kosmosie.

RAKIETA I KOSMOS

„Są różne rakiety i różnej wielkości
i ciężaru, i różnej lotności,
nie znam dokładnie ich twórców imienia —
Ziemia — Powietrze, Powietrze — Ziemia.
Rakiety wojenne, tylko w powiększeniu
służą dzisiaj ludziom ku zadowoleniu,
do badania planet i obserwowania.
Duże dobro dają one nie do opisanie
Stawiają rakiety prościutko w górę,
wyposażają ją w aparaturę,
obchodzą dokoła jak uroczą damę...
Czasem leci załoga lub strzelają same.
Lot pewnej rakiety miał dziwne zdarzenie,
a jak to było tuż niżej nadmienię.
U furty nieba dwóch mężczyzn stoi,
oba odważni, żaden się nie boi.
Oba byli rośli i stali jak dęby,
do nieba ludzi kierowali tędy.
Pierwszy coś zobaczył, koledze pokazuje
oba pilnie patrzą, skrzętnie obserwują.
To jest niebezpieczne, bo przebiło chmury
prosto na nas leci szybciej do góry.
Oba doszli końca, myśleli pospólu,
że to nic innego jak agresja z dołu.
Pobiegli do nieba i zbiórkę zwołali
szybko co widzieli tu opowiadali.
Coś ku nam biegnie w bardzo dużym pędzie,
Jeśli gdzieś nie zboczy, kto wie co z nas będzie.
Snopem ognia zionie i do tego wyje,
za parę minut nam niebo przesyje...
Nie tylko mówi lecz miną dodaje —
czasem kuczał, to na przemian wstaje,
a ten drugi wrzasnął jakby na omastę
— „Długie, śpiczaste!”
Aniołom dłużej tłumaczyć nie trzeba
zaszumiało — furknęli hen aż w głąb nieba.
Rakieta biegła opodal Wenus,
ściągnął ją Wenus i dała nań szusa”...

R. Ch. Przemysł

Na szczęście... udało się dobrze skończyło, więc odechnęliśmy z ulgą i dla odprężenia proponujemy coś z tej ziemi. Przypuszczaliśmy, że srogie opinie naszych korespondentów zamieszczone w poprzednim ogródku o kobietach, ich minispódniczkach, przewrotności i zazdrości wywołają dyskusję. Przewidywania nasze się spełniły. Oto głos w dyskusji nadesłany nam przez jedną z czytelniczek wraz z serdecznym listem, który opublikujemy oddzielnie.

DO P. JANA MARIANA J. i P. A. B. ANTONIEGO
Z RZESZOWA

„Tęgo kocha z owym zna się,
miodem słodzi mleczko ptasie.
Trzeba mówić nieustannie —
Nie przystoi w „mini” pannie,
bo „giczały” w krynolinie
dają cały wdzięk dziewczynie.
Gdy Jan się przygląda mini
zaraz w myślach brzydki czyni.
Płodzi wiersze rachityczne,
kablakowe i komiczne.
A gdy z Muzyką się nie chodzi
to się wiersza nie urodzi”.

Z. B. z Pruchnika

To się nazywa postawić kropkę nad „i”. Czekamy na dalsze głosy.



ANNA JAROSZ z Zespołu Pieśni i Tańca WDK Rzeszów.
Rys. J. SIENKIEWICZ



ZDZIWIENIE

Fot. JANUSZ WITOWICZ

Z czym do melomana?

Czy zdążymy z dostarczeniem tysiącom melomanów piosenek z sopockiego festiwalu, jeszcze podczas tej imprezy — oto pytanie, z którym przedstawiciel PAP zwrócił się do kierownictwa „Polskich Nagrań” w Warszawie. Jak wynika z wyjaśnień udzielonych przez przedstawicieli tej instytucji, podobnie jak w latach ubiegłych ukaże się longplay, na którym znajdują się polskie piosenki w wykonaniu zagranicznych piosenkarzy. Również i w tym roku „Polskie Nagrania” ufundują nagrodę dla najlepszego wykonawcy w „Dniu Płyty”.

Na Festiwal zapowiedziano przyjazd przedstawicieli ok. 20 zagranicznych firm fonograficznych. Podczas przelotu organizowanych w Salonie Muzycznym w Sopocie będą oni mogli zapoznać się z naszym repertuarem płytowym.

Produkujemy rocznie ponad 7 milionów płyt, w tym „Polskie Nagrania” ponad 4 miliony. Dla porównania wystarczy przypomnieć, że stanowi to 7-krotnie mniej niż w Związku Radzieckim, 3-krotnie mniej niż w Czechosłowacji i 2,5 raza mniej niż w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Polskie płyty krytykowane często za złą jakość. Produkcja płyt wymaga niesłychanej precyzji wykonania, a także wysokiej jakości chemikaliów. Nie wszystkie z nich posiadamy, wiele musimy importować. Przez cały okres 25-lecia zakłady „Polskich Nagrań” nie były poddane modernizacji, w związku z czym produkcja płyt odbywa się w bardzo trudnych warunkach. Dotkliwie daje się odczuć brak studiów do nagrań. W Warszawie „Polskie Nagrania” korzystają z pomieszczeń Filharmonii

Narodowej i PWSM, a w Poznaniu z auli uniwersyteckiej. Także jeśli chodzi o koperty do płyt, które projektują nasi najlepsi artyści plastycy, jesteśmy uzależnieni w poważnym stopniu od zakupu wysokowartościowego papieru.

Na radykalną poprawę zanoszą się w dziedzinie produkcji masy do lóczenia płyt. Już za kilka miesięcy Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu mają podjąć produkcję masy kopolimerowej, której pierwsze próby wypadły zadowalająco. Z chwilą uruchomienia tej produkcji będziemy mogli uniezależnić się od importu surowców, sprostowanych dotychczas w Włoch i Francji.

Oddzielny problem to płyty stereofoniczne. Płyty te produkujemy od 1961 roku w stosunkowo niewielkich ilościach z przeznaczeniem na eksport. Nie rozprowadzamy

ich na rynku wewnętrznym, mimo że jesteśmy w stanie produkcję tę rozszerzyć. Ograniczony popyt wynika z braku odpowiednich adapterów.

Największym odbiorcą płyt w kraju jest młodzież, toteż dominują u nas nagrania muzyki rozrywkowej. „Zarabiała” one równocześnie na pozycje muzyki poważnej, które są raczej deficytowe. Nie wszystkie bowiem płyty mają tak wielkie powodzenie jak „Pasja” K. Pendereckiego, wytoczona w ilości ok. 30 tysięcy egzemplarzy.

Być może trudności, z jakimi walczą „Polskie Nagrania” zostaną wkrótce pokonane. Opracowane już od kilku lat plany rozbudowy i modernizacji „Polskich Nagrań” mają być realizowane w nadchodzącej 5-lacie.

(Kt-PAP)

FILM ♦ FILM

VIRNA LISI
NA SCENIE TEATRALNEJ

Virna Lisi wystąpi na scenie w roli Desdemony w współczesnej wersji szekspirowskiego „Otella” u boku Enrica Maria Salerno. — „Koniec z dolarami, willami, cadillacami, armią prywatnych sekretarzy, charakterystatorów, z fotoreporterami i wywiadami — powiedziała aktorka — przez co najmniej rok chcę mieć z tym spokój”. Lisi jest szczęśliwą żoną i matką, a kariera filmowa nie przewróciła jej w głowie. „Zawód aktorki jest trudny — mówi — rujnuje życie osobiste, można być wyjątkiem, ale za cenę jakich poświęceń...”.

„GODZINA OGNISK”

Wyświetlany obecnie we Francji film pt. „L'heure des brassiers” uznany został przez niektóre pisma za zwiastun nowego rodzaju filmu o charakterze politycznym, całkowicie różnym od tego, co dotychczas oglądaliśmy.

Tytuł filmu jest zaczerpnięty ze wstępu Jose Martí do apelu Che Guevary „Do trzech kontynentów” i w dosłownym tłumaczeniu brzmi: „Godzina ognisk”.

W filmie, trwającym 4 godziny, autor scenariusza Fernando Solanas i współtwórca Oktavio Getino analizują przybliżony historyczny, ekonomiczny, geograficzny i polityczny nieustający wrzenia w krajach Ameryki Łacińskiej. Zawarty w filmie amalgamat aktualności, reportaży, wywiadów szokuje widza: oglądamy śmierć Guevary, prześladowania i głód Indian, walczących o postęp i prawa studentów argentyńskich. Film jest jak gdyby wezwaniem krajów Ameryki Łacińskiej do walki o nową rzeczywistość polityczną i społeczną.

AKTUALNOŚCI W TELEWIZJI FRANCUSKIEJ

W nowo powstałym w telewizji francuskiej magazynie aktualności „VOILA” Edward Sablier omawia problemy wewnętrznej polityki amerykańskiej na podstawie dwóch reportaży z telewizji belgijskiej i amerykańskiej (CBS). W reportażach tych ani reakcja studentów przeciwko wojnie w Wietnamie, ani też problem murzyński nie są niczym nowym. Natomiast dokumentem, który zadziwił nawet Amerykanów, gdy ujrzeni go na swych ekranach, był obraz głodujących Meksykanczyków w Teksasie, Murzynów w Alabamie oraz Indian w rezerwach. Obrazy te przypominają Biafry! Najbardziej wstrząsającym momentem jest śmierć „czarnego dziecka” umierającego przed kamerą. Wydawałoby się, stwierdzają autorzy reportażu, iż jest to rzecz nieprawdopodobna w społeczeństwie amerykańskim.

LILIANA GISH ZNÓW NA EKRANIE

Znana gwiazda ekranu z okresu międzywojennego Liliana Gish była obecna na pierwszym seansie, który zapoczątkował projekcję filmów, w których występowała artystka. Projekcja ta została zorganizowana przez kinematografię francuską w hołdzie dla tej wielkiej gwiazdy niemej filmu. (Kt-PAP)